Nr. 45. Warszawa, dnia 28 Października (10 Listopada) 1900 r. **Rok XX.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.

Adres: Sadowa Nr. 14.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki i piątki od 4 do 6 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

NOWI MINISTROWIE.

Salisbury zmęczył się już polityką zagraniczną; pozostając nadal pierwszym ministrem, zdaje ją jednemu z dotychczasowych kolegów, sam zaś weźmie po Crossie pieczęć tajną — najniewinniejszy z wydziałów rządowych: uznoić się w nim niepodobna, mimo najlepszych chęci, a od trosk jest się zupełnie zabezpieczonym. Za następcę, jako minister wydziałowy będzie miał Lansdowne'a, dotychczasowego ministra wojny, tego samego, którego patryotyzm angielski, zbolały i nawet strwożony powodzeniem Boerów aż do końca lutego r. b., obwiniał o wszystkie klęski wojska, o całe nieszczęście upokorzonej dumy angielskiej. Dzielny opór i prawie legendowa pomyślność dwu pospólni politycznych, które razem wzięte nie liczyły nawet sześciu kroć stu tysięcy ludzi, kiedy ogromne państwo brytańskie liczy ich trzysta kilkadziesiąt milionów — nie mogły się pomieścić w głowach angielskich: w pierwszym okresie wojny, do końca roku, duma nie chciała nawet przypuścić winy sztabów i oficerów w polu; wolała oskarżyć ministra siedzącego w Londynie: on to posiłki opóźnił i wojsko źle zaopatrzył. W czasie kiedy zaciskano pięści nawet na Chamberlaina, zdawało się, że przynajmniej Lansdowne się zwali; utrzymał się przecież i oto nawet awansuje na ministra spraw zagranicznych.

Standard, który go zna, jest z niego niezadowolonym, wszyscy się nawet dziwią, jak mógł Salisbury zrobić taki wybór. Lansdowne ma być tylko pracowitym, a przy pracowitości tylko nieudolnym: dobry minister w najważniejszym wydziale służby, w tym właśnie, w którym więcej udolność, niż pracowitość popłaca. Spodziewano się Chamberlaina, sprawcę wielkiego zamachu na Boerów, wykonanego za pomocą wojny, a wykonanego z taką zręcznością, czy też tylko szczęściem, że wydać się mógł całemu światu tylko prawowitą samoobroną przeciwko zaczepce boerskiej. Chamberlaina pożądano jako przedstawiciela polityki wielkomocarstwowej, ministra o rozległych zamysłach i wielkich widnokręgach, człowieka z odwagą działania, niecofającą się przed cynizmem — takiego właśnie, jakiego potrzebuje przeradzająca się w oczach naszych Anglia. Ale nie potrzebował go Salisbury; wiedział, co czyni. Do mniejszych robót, które nużą, a są najliczniejsze, wziął sobie zastępcę, wyręczyciela; większe sam nadal przy sobie zatrzymuje. Chamberlain jest zanadto zdolnym, aby mógł być dogodnym: Lansdowne będzie doskonałym do robót małych, z których właśnie pierwszy minister otrząsnąć się pragnie. Wybór tak pojęty bynajmniej nie zadziwia: Salisbury dobrze wybrał.

Oprócz tej zmiany są jeszcze inne: występuje z gabinetu nietylko Cross, ale i stary Goschen, znakomity uczony w handlowości i ekonomice handlowej, zasłużony kanclerz skarbu, a do tej chwili pierwszy lord admiralicyi. Z wydziału spraw wewnętrznych Ridley przechodzi do prezydyum Izby gmin. Nowe wybory jesienne dały w przeradzającej się Anglii tak ogromną przewagę zachowawcom, że mogą sobie lekceważyć zbyt zachowawczy charakter swego kandydata, sprzeciwiający się właśnie kandydaturze; ta przewaga również poręcza przeprowadzenie wyboru. Rząd będzie miał swojego człowieka na stanowisku narodowo-konstytucyjnem, a nie stronniczem, jakie wolno zajmować samym gabinetom angielskim. Salisbury zmienił poczmistrza generalnego, zmienić ma i ministra rolnictwa. Najważniejszą ze wszystkich zmian byłoby obsadzenie nowym człowiekiem vice-królestwa Irlandyi: miejsce Cadogana zajmie Dudley, a nie on, to margrabia of Zetland. Po dokonaniu wszystkich zmian, weszłoby do gabinetu czterech ludzi nowych; nowoobsadzonych stanowisk jest więcej, ale w nowe statki ponalewa Salisbury i starego kwasu: dawni ministrowie poprzenoszą się do nowych wydziałów.

Całe to przetworzenie osobistego składu gabinetu angielskiego znaczy rozkwaterowanie się zachowawczości na długie lata. Salisbury nie chce się zużywać, dlatego bierze Lansdowne'a, pragnie zaspokoić ambicye falujące w każdem stronnictwie zwycięzkiem i dlatego sadowi Ridleya na prezydyalnem w niej krześle. Spadek po sobie, gdy się już naprawdę zużyje i do robót większych, obecnie jeszcze zatrzymanych, niezdolnym okaże — ma zamiar przekazać swemu siostrzeńcowi, Balfourowi, i trzebaby prawdziwego nieszczęścia, aby się ten spadek wymknął z rąk upatrzonego dziedzica i dostał np. Chamberlainowi, który ma wprawdzie teraźniejszość świetną, ale miał przeszłość czystą, piękną i nie na politykę zewnętrzną, ale na wewnętrzną, młodą energię swą zwracał. Lud angielski pamięta jego bil o stosunkach między robotnikiem a przedsiębiorcą, i tego bilu zapomnieć mu nie może. Ta właśnie przeszłość czyni go margrabiemu niezupełnie miłym, a nawet do pewnego stopnia podejrzanym. Polityki wewnętrznej zachowawcy nie lubią; lgną do zagranicznej; gdy w niej nic większego niema, obierają sobie za cel Irlandyę, do której teraz przybywa Transwal. A politykę zagraniczną spodlili zasadą łapania

co się da i ustępowania, gdzie ustąpić potrzeba, aby złapać. Chiny, Transwal, Marokko, do którego zwolna wdziera się Francya. Irlandya wreszcie — czyż mało do roboty? Te sprawy też zajmować będą nowy gabinet Salisburego, jak zajmowały dawny.

Tydzień polityczny. D. 6 b. m. odbył się w Stanach Zjednoczonych wybór umyślnego ciała wyborczego, mającego wybrać prezydenta Stanów Zjednoczonych. Kandydaci, Mc Kinley i Bryan, mają od stronnictw swych zapewnione minimalne liczby wyborców po myśli. Cały ruch dotychczasowy zmierzał do zyskania jaknajwiększej liczby zgromadzeń wyborczych, gotowych wybrać takich kandydatów na elektorów, którzy zobowiązali się głosować na domniemanego prezydenta. Wybory główne odbędą się w Grudniu.

Ruch zbrojny w Transwalu i Oranii nie ustaje, skupiając się na pograniczu Basutów. Władzę dzierży Stejin: Botha, De Wett, Meyer Łukasz przewodzą ochotnikami. Krügera spodziewają się d. 11 b. m. w Marsylii. Anglia miała w tym tygodniu zawiadomić gabinety o zamordowaniu obu rzeczypospolitych. Roberts, po okrucieństwach przy tłumieniu ruchu, wraca do Europy.

P. Posadowsky, minister spr. wewn. rzeszy, mimo jawnych dowodów, że urząd jego na koszta agitacyi w interesie przemysłowców, brał od nich zasiłki pieniężne, w jednym wypadku do 12,000 marek dochodzące — trwa po dawnemu na stanowisku.

W Chinach ciało dyplomatyczne europejsko-japońskie rozstrząsnęło już sześć propozycyj francuskich i dodało jeszcze od siebie dwie, zapewniające posłuszeństwo i współdziałanie mandarynów. Niegodziwem jest rozzbrajanie prawne Chin, zaproponowane przez Francyę

W Pao-ting-fu sroży się miecz sprawiedliwości europejskiej. Dwóch taotajów skazano już na śmierć. Hrabia Waldersee wyroki zatwierdził; jest to dotychczas jedyny przez niego samego spełniony czyn wojenny. Niemcy muszą mieć przynajmniej takie zadowolenie. Sztandaru nie zatknęli w Pekinie, ale pardonu nie dają i na pamiątkę po sobie zostawią przerażenie. Europa pozwala im na to nasycanie apetytu. Jest on zaszczytny. Po drodze z Pekinu i z Tien-tsinu, wsie całe, dwory, chaty, gospodarstwa porabowane, poobracane w perzynę. Cywilizacya europejska górą nad barbarzyństwem chińskiem. Gen. Gazellee, Anglik nowej formacyi, poburzył świątynie chińskie, tam, gdzie mordowano misyonarzy.

D. 6 b. m. zebrały się Izby francuskie. Radykalni zażądali lepszej polityki. Socyaliści poprzestają na programacie tolozańskim z d. 28 paźd. Wrócimy do niego.

W Hiszpanii, w Katalonii, powstanie karlistowskie. Niechby już raz stało się coś stanowczego. Rządy tej królowej matki, i tych lichot, które ją obłegają — po nieszczęściach roku 1898 sprowadzają tylko ruinę.

Przedlitawia drze się z Zalitawią o kierunek kolei bośniackich. Ruch wyborczy przedlitawski wydaje różne syndykaty polityczne i po prawicy i po lewicy. O federalizmie jędrnym nie słychać. Czesi wciąż grożą obstrukcyą.

ŻYCIE SPOŁECZNE

NAD ŚWIEŻĄ MOGIŁĄ.

(Stanisław Szczepanowski).

Przed laty mniej więcej dziesięciu ukazała się we Lwowie książka, która wywarła silne wrażenie. Była to *Nędza Galicyi w cyfrach*, z programem „energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego,“ autorem jej zaś — Stanisław Szczepanowski, mąż, który widział dużo świata, posiadał spory zasób wiedzy, a teraz doświadczenie swe, nabyte na obczyźnie, zamierzał obrócić wyłącznie na pożytek ziemi ojczystej. Książka z niepospolitą śmiałością, a nawet gwałtownością, odsłaniała niedomagania kraju. Szczepanowski stawiał przed oczy ziomkom nagą rzeczywistość, że każdy Galicyanin pracuje tylko za ćwierć człowieka, a je za pół — pracuje on licho, bo nędznie się żywi, a nie może żywić się lepiej, bo za mało pracuje. Cyfra przeciętna, powyżej przytoczona, ogarnia cały kraj, a jeśli odtrącić warstwy lepiej uposażone, to wśród ludu wyjdzie na jaw straszna bieda: włościanin odejmuje sobie jadło od ust i wynosi je na sprzedaż, karłowacieje fizycznie, a podatki, chociaż, w stosunku do jednego mieszkańca, są niższe, niż w wielu krajach, przecież porównane z dochodem krajowym, przedstawiają obciążenie nieprawdopodobne, bo pochłaniają aż piątą część całego dochodu. „Nie byłem w stanie — pisze autor — wyszukać, czy to w Europie, czy w Azyi, kraju, w którymby na głowę mniej produkowano, gorzej się i nędzniej żywiono, niż w Galicyi. Galicya jest obecnie tem, czem była przed czterdziestu laty Irlandya, tj. krajem najuboższym, najnędzniejszym na kuli ziemskiej. Zajmując się przez wiele lat specyalnie administracyą indyjską, zawsze przypuszczałem, że niektóre prowincye Indyj angielskich były w tem położeniu, ale po szczegółowem porównaniu przyszedłem do przekonania, że w całych Indyach niema prowincyi, w którejby na głowę nie przypadało do konsumpcyi przynajmniej dwa razy tyle zboża, co w Galicyi.“ Książka nietylko przedstawia nędzę ludu, ale zastanawia się także nad pijawkami, które z niego soki wysysają. „Biurokracya wraz z wojskiem stanowi przeszło 3% ludności i pobiera przeszło 11% całego dochodu krajowego, tak, iż majątkowo stoi na czele wszystkich warstw wykształconych. Wątpię, czy co do dochodu znajdzie się drugi kraj, w którymby tak znaczna część całego dochodu krajowego szła do biurokracyi.“ Biurokracya była, zdaniem Szczepanowskiego, głównym rakiem, toczącym organizm Galicyi.

Książka zrobiła wrażenie, może nie tyle mocą swoich argumentów, ile silnem uczuciem społecznem, rozbrzmiewającem w każdym wierszu, nawoływaniem do czynów obywatelskich, umiłowaniem rodaków, współczuciem dla nizin społecznych. A jednak... jednak, pomimo całej siły szczerego, entuzyastycznego patosu, nie czuć tam sondy, sięgającej do głębi opisywanych stosunków. Rozbiór grzeszy powierzchownością, która miejscami przechodzi w zdumiewającą płytkość, szczególniej kiedy od tego, co istnieje, zwracał się autor ku rozbiorowi czynników nędzy, a zwłaszcza środków zaradczych. Obok silnych i śmiałych obrazów nędzy książka zawierała w sobie mało pierwiastków pożywnych. Ale gorące uczucie i zapał nadawały dość pospolitym ogólnikom pozorną żywotność, która łudziła, i głębokość, jakiej w istocie nie było. Pomimo całej szczerości i niekłamanego współczucia dla cierpiących rodaków, Szczepanowski nie zdołał wznieść się po nad mieszczańskie widnokręgi i mieszczańskie frazesy, a tem bardziej pospolite znachorstwo. Wykształcony na wzorach rzutkości przemysłowej amerykańskiej i samorządu angielskiego, zoczył dużo stron ujemnych: intuicya, kie-

---

Stefan Żeromski.

GODZINA.

Rozległy ogród, tarasami zstępujący ku rzece, która płynie za jego murem, pełen jest światła, wilgotnych cieniów i odoru wiosennej, skopanej ziemi. Jeszcze rosa obfita stoi na trawach. Lekki powiew odchyla młodociane, w srebrną barwę obleczone liście sokory. Klonowe tak przejrzyste, że wskroś nich widać słońce, listki wątłe, białawe, swawolne taplają się pieszczotliwie w błękitnych wietrzykach. Gędźba ptaków, dysząca zachwytem i namiętnościami wyrywa się z powszechnego chorału pszczół, co jak głęboki a niepewny ton organów unosi się między drzewami. Świetliste muchy z brzękiem co chwila lecą to tu, to tam, na podobieństwo pyłów przetrącające szerokie, wytężone, sino-złote struny słońca. Niespokojne cienie liści wałęsają się po mokrej ziemi.

Z miejsca, gdzie na kamiennej ławce, przy pniu wielkiej brzozy siedzi młodzieniec, słychać śpiew sierot, parami idących pod okiem szarytki, siostry Marty. Śpiew oddala się i ginie za gajem krzewów. W tamtej stronie widać fronton kilkopiętrowego szpitala. Niektóre jego okna są otwarte — i czarne głębie bolesnych sal patrzą z nich w ogród — inne do połowy osłonione firankami.

SIOSTRA,
zbliżając się do ławki:

Nie był pan wczoraj w kościele...

MŁODZIENIEC,
dźwiga głowę, którą trzymał opartą na prawej ręce. Lewa grubym bandażem z waty i gazy owinięta spoczywa w temblaku.

W istocie, nie byłem wczoraj...

SIOSTRA, idąc dalej:

To bardzo źle! Dziś operacya, a pan tak lekceważy...

MŁODZIENIEC, z uśmiechem:

Jesteśmy w kościele...

Siostra spogląda na niego z wyrzutem, odchodzi i za kępami bzu znika w ulicy. W tym samym czasie z jednego okna wylatuje spazmatyczny krzyk — a potem kipi gwar głosów męzkich. Wnet wszystko ucicha... Słychać tylko szmer wiatru, przesypujący się srebrzyście pomiędzy mnóstwem zwieszonych gałęzi płaczącej brzozy. Z odległych cieniów ogrodu ku zacisznym trawnikom liliowe kępy rozkwitłego bzu, wysrebrzające szczyty krzewów, spływają niewyczerpaną falą, jak gdyby pieśń cudnego głosu. Narcyzy mokre od rosy wyziewają zapach swój przeciągły i jadowity. Trawa, usiana mnóstwem złocieni polnych z żółtemi oczyma, w słońcu mieni się i kurzy.

SIOSTRA, nadchodząc:

Żona starego dróżnika z trzeciej sali zbudziła się podczas operacyi... Jeszcze przed panem trzy osoby będą na stole.

MŁODZIENIEC.

Mamy czas.

SIOSTRA.

Trzeba go dobrze użyć.

MŁODZIENIEC.

Staram się, ile możności.

SIOSTRA,
siada na brzegu ławki:

I o czem też pan myśli?

MŁODZIENIEC.

Myślę, siostro... Myślę o pewnym psie nikczemnym na pierwszy rzut oka, który jednak najbardziej godnie nosił imię Orestesa.

SIOSTRA.

Zawsze o tym psie! Czemuż go pan zostawił, jadąc do nas?

MŁODZIENIEC.

Nie mogłem... Obiecywano zająć się nim troskliwie w miejscu mego pobytu z tam-

rowana wrażliwem sercem, dopowiedziała mu nieco; dał jednak tyle, ile dałby każdy wykształcony przeciętny Amerykanin na widok ciemnego, wynędzniałego społeczeństwa. Ale śmiałość i szczerość zdania była podówczas w Głodomeryi rzeczą jeszcze nieznaną...

Już podczas pisania swojej książki Szczepanowski uczestniczył w życiu politycznem Galicyi, jako mandataryusz sejmowy. Zdawało się, iż miał jasną drogę przed sobą. „Zpauperyzowanie najliczniejszej klasy ludności naszej, niżej stanu żebraków angielskich, nie jest faktem odosobnionym, ale odbija się na całem społeczeństwie, którego każda warstwa, porównana z odpowiedniemi warstwami gdzieindziej, przedstawia się równie zpauperyzowaną. To nietylko lud, ale cały kraj schodzi na żebry. Nie praca i oszczędność, jak w zdrowych społeczeństwach, ale żebranina jest najwybitniejszem zjawiskiem ekonomicznem w Galicyi. Inteligencya żebrze o posady przy urzędach, stan średni i szlachta o kredyt w bankach, cały kraj żebrze w Wiedniu, tylko najliczniejsza klasa ludności nie ma u kogo żebrać. Nie może być inaczej. Żaden stan nie może się wyzwolić od wpływu ogólnych warunków go otaczających. Ciało społeczne zależy ostatecznie od natury swoich komórek pierwotnych. Temi komórkami pierwotnemi są jednostki ludzkie pracujące. Jeżeli te jednostki są zdrowe, silne i energiczne, to jeszcze wiele zależy od sposobu ich użycia, od systemu społecznego, który może w większym lub mniejszym stopniu wyzyskać ich siłę i energię, ale z chorych i lichych jednostek żadna sztuka polityczna nie stworzy zdrowej i silnej całości społecznej. Zadanie polityka jest niejako zadaniem architekta, który z pewnych materyałów ma wznosić gmach na pewne cele." A więc należało całą siłą uderzyć przeciw politykom, hołdującym zasadom żebraniny, a nadto obudzić świadomość polityczną wśród szerokich mas, ażeby z jej pomocą zmódz rzeczników dotychczasowej taktyki. Ale dziecko ideowe burżuazyi anglosaskiej, Szczepanowski, współczuł cierpieniom ludu, lecz w nędzy widział tylko nędzę, nie zaś dźwignię dziejową: nie rozumiał również, czego można było dokazać działalnością, stwarzającą wśród szerokich tłumów pożądanie zdrowia politycznego — to pierwsze ogniwo w pasmie czynów, prowadzących do ukrócenia żebraniny. Nietylko nie zrozumiał tego zadania, lecz bodaj nawet nie przeszło mu ono przez myśl. Co więcej, postępki jego kłóciły się z założeniami książki. Znalazł się w gronie politycznych żebraków, a związany solidarnością, spełniał tam rolę sprawozdawcy budżetowego, znajomością mieszczańskich rzeczy zdobył sobie poważanie, nawet miał widoki objęcia teki ministra skarbu, które zresztą spełzły na niczem z korzyścią dla nazwiska, jakie pozostawił po sobie. Bo czujemy, że rozbitka, jakim jest Szczepanowski, wyżej cenimy, niż gdyby uśmiechnęły mu się zaszczyty Jego Ekscelencyi. Cała jego ówczesna działalność jest pełną rozdźwięku pomiędzy czynem a teoryą: obnażaniem nędzy i żebraniny politycznej a solidaryzowaniem się poniekąd z jej przedstawicielami i sprawcami. Rozdźwięku tego wszakże nie kładźmy na karb myśli świadomej! To zapał pchał Szczepanowskiego w jedną, widnokręgi zaś mieszczańskie — w drugą stronę. Pod działaniem tych sprzecznych pierwiastków krążył on w zaczarowanem kole bez wyjścia.

Jednocześnie rzucił się w wir działalności przemysłowej. Jego program „energicznego rozwoju gospodarstwa krajowego," mieszczański w zasadzie, polegał na rozwoju sił wytwórczych kraju, z których wzrostem materyał ludzki miał stawać się zdrowszym, silniejszym i energiczniejszym. Miał on słuszność. Powstanie wielkiego przemysłu w Galicyi stworzyłoby tam zgoła inny materyał ludzki, niż służalczy ziemianin, zgłodniały wieśniak i ciemny rzemieślnik. Ale Szczepanowski rozumiał sprawę nieco inaczej. Zresztą, mniejsza o to. Z gorączkową przedsiębiorczością powoływał do życia olbrzymie zakłady, pchnął przemysł naftowy na nowe tory, jął się dobywania węgla kamiennego. Działał z rozmachem amerykańskim, ale bez akcesoryów zamorskich, których biedne, ślamazarne życie galicyjskie nie zdołało wytworzyć. Nie miał pomocników — sprowadzał ich z pośród rodaków, pracujących za granicą,— a przedewszystkiem nie rozporządzał kredytem. Był niewątpliwie wielkim zapładniaczem przemysłu galicyjskiego, trafnie dostrzegającym drogi wyzyskiwania przyrody: towarzysze jego porobili miliony, zapadłe ustronia Galicyi zaczęły tętnieć życiem, ale sam zapładniacz padł zmożony nierówną walką, bez majątku. Ustrój kapitalistyczny, w którym ludzie bankrutują z powodu niewypłacalności, chociaż aktywa martwo przewyższają pasywa, płatne w gotówce, chociaż są otoczeni bogactwem przez siebie stworzonem, pożarł swego ideologa. W Ameryce znalazłby jeszcze pomoc banków, wyszukałby wspólników-akcyonaryuszów, ale w Galicyi zbrakło ręki pieniężnej, a prywata polityczna, mszcząca się za to, że w piersiach Szczepanowskiego drgało dzielne serce obywatelskie, przyspieszyła upadek i nawet porwała się na pozbawienie go honoru, ku czemu zresztą zmarły dostarczył powodów, korzystając w sposób nieprawny, uboczny z funduszu Kasy oszczędności. Rozbitek zniknął z widowni społecznej, ażeby umrzeć na serce, które kochać i spółczuć, a wreszcie cierpieć silnie umiało. Inni wzięli miliony i honory...

Szczepanowski przemknął po nad społeczeństwem, jako meteor. Miał w sobie czegoś za dużo, by skończyć na zaszczytach i sławie, i czegoś za mało, by wyryć trwalszy ślad po sobie. Przyroda obdarzyła go większą liczbą przymiotów, niż wymagało jego stanowisko, jako przedsiębiorcy; warunki życia nie dały mu dostatecznej głębokości wejrzenia w stosunki społeczne, co zapewniłoby mu inne stanowisko w polityce. Gdyby miał mniej wrażliwości na nędzę, a mniej wstrętu do żebractwa politycznego, umarłby jak Jego Ekscelencya austryacka: gdyby polityka mniej go interesowała (a nadto w niej hołdował zasadzie przyodziewania swoich interesów materyalnych w szatę wymagań politycznych), znalazłby łatwiejszy kredyt i na pewno jakaś ręka podźwignęłaby go w ciężkiej chwili kryzysu finansowego. Gdyby dbał o zrobienie grosza, patrzałby inaczej na swoją działalność i nie rzucałby się na różne strony, byleby w większej liczcie punktów kraju ojczystego stworzyć energiczniejszy prąd życia wytwórczego. Takie było owo *plus*, które naraziło go na rozbicie. Nadto za bardzo był Amerykaninem, pragnącym nietylko żyć, lecz krzewić zdrowe, energiczne życie dokoła w kraju, w którym zasadą jest—czołem bić przed wpływowszym, z góry patrzeć na niżej stojących, cudzem życiem zaś poniewierać, ażeby swoje wzmocnić. Jego *minusem* było to, że nie zrozumiał dziejowego posłannictwa „nędzy": miał serce i odwagę stawić ją przed oczy jej sprawcom i katom, ale nie posiadał dostatecznie wyrobionej myśli, ażeby oprzeć się na niej i nie wchodzić w daleko idące

---

tej strony Wisły. Gdy nadszedł dzień wyjazdu, przywiązany był mocno do budy, ale przegryzł postronek i dogonił furmankę. Daremnie go odpędzano. Warował na ziemi, znosił bez skomlenia razy i kopnięcia nogą. Przybyliśmy do komory celnej. Po załatwieniu formalności wstąpiłem w czółno, żeby się przeprawić na drugą stronę Wisły. Psa zostawiłem. Zdawało się, że wróci za końmi, które mię do granicy odwiozły. Zdawało się, że... Nie mogłem wziąć go ze sobą! Tak, nie mogłem. Byłem w takiem położeniu, że nie mogłem, aczkolwiek stanowił, oprócz duszy, jedyny mój majątek. Łódź zsunięta z ławicy piasku pochwycił nurt rzeki. Orestes siedział przez czas pewien na tem samem miejscu, zapewne oniemiały aż do furyi na widok zdrady, którą miał przed oczyma. Począł szarpać ziemię pazurami, miotać ją za siebie i wściekle wyć. W pewnej chwili skoczył na prawo i co sił, co sił, co tchu w płucach gnał, sądząc, że okrąży szeroką wodę. Straciłem go z oczu. Byłem na środku, gdym go ujrzał znowu. Zdawałoby się, że tylko rozjuszony jastrząb może tak lecieć po samej ziemi, na skrzydłach, migając się wśród krzaków dla chwycenia w szpony przepiórki. Zdawałoby się, że tylko głodny lis mógłby tak ścigać rannego królika. Tymczasem on za miłością swoją... Byliśmy pod przeciwległym brzegiem, gdy wrócił na miejsce, z którego łódź odeszła. Stał tam przez chwilę, milczący, jakby skamieniał. Później jednym susem rzucił się w wodę z wysokiego brzegu. Widziałem i słyszałem, jak płynął, boleśnie szczekając. Prąd go znosił daleko. Daleko... Czarny łeb zanurzył się raz, zanurzył drugi raz, trzeci. Wreszcie znikł na zawsze pod pędzącemi falami.

SIOSTRA.

Nie trzeba o tem myśleć. Czyż nie lepiej jest wspominać krewnych, przyjaciół, blizkich sercu?

MŁODZIENIEC.

Nie mam ani jednej istoty ludzkiej, blizkiej sercu. Z krewnymi nic mię nigdy nie łączyło oprócz jakiegoś prawa ich nade mną, które ustawicznie musiałem rozłamywać i deptać. Żyłem zawsze wśród ludzi obcych i złych. Wyniosłem z pośród nich tylko pamięć krzywd, zadanych dumie.

SIOSTRA.

Zadanych pysze. Słyszałam ongi, na świecie, że dumy niepodobna skrzywdzić. Duma, mówiono mi, jest niedostępna, twarda i szlachetna, jak onyks, z którego wycinają kameje, trwająca dziesiątki wieków. Dziś wiem, że człowiek, jeśli tylko zechce, nie może być skrzywdzony nigdy i przez nikogo. Nie może być skrzywdzony, kto ucieka z pośród zła okrążającego ziemię i choćby raz jeden przyłoży spalone wargi do wód świętego zdroju pokory.

MŁODZIENIEC.

Tak, zadanych pysze. Wyniosłem pamięć krzywd bardziej bolesnych, niż potrącenie kości drągiem żelaznym, bardziej trwałą od skutków zmiażdżenia dłoni przez podkute kopyto rumaka. Nauczyłem się długo, pracowicie, z mistrzowstwem wyszlifowywać ostrze wzgardy, przeszywającej, jak puginał, a w każdej chwili nieodzownej, jak sztylet, kiedy udajemy się w dzielnicę łotrów.

SIOSTRA.

„Nie zabijaj!"

MŁODZIENIEC.

Nie zabijaj! Czemuż stworzony jest orzeł, co czatuje na krzemiennem zamczysku swojem w szczycie łańcucha gór, orzeł, który śmieje się z jęku swych ofiar, pasie z rozkoszą oczy widokiem wnętrzności pazurami wyrwanych, wdycha kurz krwi ciepłej i z okrzykiem szczęścia zabija?

SIOSTRA.

Tak też mniema w sercu swem każdy, kto pana krzywdził.

MŁODZIENIEC.

Tak mniema.

kompromisy z czeredą polityków żebractwa. Mieszkały w nim jakby dwie dusze: ideologa mieszczańskiego i praktyka humanitarnego, ta ostatnia ujarzmiła tamtą, a takie nienaturalne sprzężenie skończyło się rozbiciem. Zszedł do mogiły, lecz zostawił po sobie wspomnienie człowieka, który, bądź co bądź, budził przez lat dziesiątek rodaków do życia i usiłował stworzyć dla nich warunki dobrobytu materyalnego. Zapłodnione przezeń siły wytwórcze wydadzą milionerów, i nawet ich już wydały; będą oni robili majątki tam, gdzie on utracił honor, a będą robili, bo będą bardziej czerstwi, mniej uspołecznieni i mniej polotni. Ale zapładniacz zrobił swoje, bo zapłodnił to, co przy jego poglądach można było zapłodnić. Wyrok sądu przysięgłych w sprawie użycia funduszów galicyjskiej Kasy oszczędności uniewinnił zmarłego ku wielkiemu oburzeniu jego przeciwników politycznych i tanich moralistów. Ale postępując w tak wyjątkowy sposób, rozumiał, iż ma przed sobą obywatela, który ani grosza nie łaknął dla siebie i który stoi przed nim jako winowajca tylko dlatego, że zapragnął dokonać zbyt wiele dla ojczyzny. Rozgrzeszono go za jego wielkie serce, które jednak nie przebaczyło swej powłoce cielesnej. Nad świeżą mogiłą nie będziemy surowsi od sędziów!

K. R. Ż.

Z WYSTAWY PARYSKIEJ.

Paryż, w październiku.

Pawilony obcych państw rozsypane są na wystawie powszechnej w kilku miejscach. Państwa egzotyczne, jak Chiny, Japonia, Egipt, Transwal, umieściły się w półkolu Trocadera, w sąsiedztwie kolonij i protektoratów państw europejskich; tam to też obrała sobie miejsce na pawilon Rosya, która wystawia, naturalnie, w najrozmaitszych innych działach, a w pawilonie przedstawia jedynie Syberyę i inne swe posiadłości azyatyckie. Parę kraików, jak Syam, Marokko, rzeczpospolita San-Marino, ustawiły swe malutkie pałacyki u stóp wieży Eiffla. Główna jednak dzielnica pawilonów państw — to t. zw. „ulica Narodów," zaczynająca się od esplanady Inwalidów: tam stoi ich 24 w dwóch długich rzędach. Pierwszy — od Sekwany — zajmują państwa pierwszorzędne (ale w ich liczbie — Bośnia i Marokko...); w drugim, między Bułgaryą a W. Ks. Luksemburskiem, a naprzeciwko Norwegii i Niemiec, udzielono miejsca Finlandyi, która uzyskała prawo zbudowania własnego swego pawilonu. Nad drzwiami jedynie, obok wyrazów: „Pavillon Finlandais," czyta przechodzień z dwóch stron powtórzone: „Section russe" i nad herbowym lwem finlandzkim widać wielkiego orła dwugłowego. Organizacyą pawilonu, zawierającego prawie całą wystawę finlandzką, z wyjątkiem tylko pewnej ilości maszyn i tkanin, wystawionych na polu Marsowem, zajmował się z polecenia senatu finlandzkiego, w.-książęcy departament przemysłu, a właściwie delegat jego, inż. R. Runeberg, syn słynnego poety narodowego, oddany pod zwierzchnią władzę komisarza generalnego Rosyi, księcia Teniszewa.

Pawilon, dzieło budowniczych Gesselliusa, Lindgrena i Saarinena, choć prosty, jest tak oryginalny i malowniczy w swym charakterze narodowym, że zwraca uwagę każdego. Jest to jakby mieszanina chaty chłopskiej i wiejskiego kościołka. Ściany naśladują granit, przecinają je wązkie okna, drzwi półkoliste, malowane na ulubiony fiński kolor czerwony. Strzelistej, ośmiokątnej dzwonicy strzegą u połączenia się jej ze stromym dachem cztery niedźwiedzie. Budynek od strony wejścia ścięty prosto, z drugiej kończy się półkolem.

Wnętrze pawilonu uderza odrazu swą czystością i nadzwyczajną starannością wykończenia. Jest to co prawda ogólna cecha pawilonów skandynawskich: norweski, a szczególnie szwedzki, zawierają nawet wiele rzeczy znacznie ładniejszych, niż finlandzki, a przedewszystkiem — wyroby szwedzkiego „slöjdu," czyli przemysłu domowego wieśniaków. Ale tutaj znać coś specyalnego: znać, że organizatorowie wystawy nadzwyczajnie dbali o to, aby pokazać światu wszystko, co przynosi zaszczyt ich ojczystemu krajowi, co, pomimo jego materyalnej małości, świadczy o wysokim poziomie jego cywilizacyi, o zwycięzkiej walce z ubogą i oporną naturą, o żywotności a zarazem wzorowej zgodności dwóch zamieszkujących go narodów. Skromne tu wszystko, nic błyskotliwe, pozbawione pozy i samochwalstwa; ale w robotach ręcznych i kajetach uczniów i uczennic licznych różnorodnych szkół, w mapach i planach kolei żelaznych i mnóstwa kanałów, w tablicach poglądowych i statystycznych, w okazach archeologicznych i przedhistorycznych, w modelach statków, które co zima ze strasznym wysiłkiem rozbijać muszą lody naokoło portów finlandzkich, aby utorować półwyspowi komunikacyę z Europą, w dowcipnych sieciach i zastawach na ryby, w wysoce artystycznych modelach mebli i sprzętów domowych, w licznych obrazach i płaskorzeźbach ściennych, zdobiących pawilon — znać i czuć solidarnie pojętą i podjętą pracę, zespolenie się wszystkich uczestników z zakreślonym celem, cichą, spokojną wytrwałość i niewyzywającą ale niezachwianą dumę i pewność siebie. Przyjemnie się oddycha tą atmosferą.

W środkowej części pawilonu, pod dzwonnicą, której ściany tworzą kopułę czworokątną, najpierw oko uderza stojąca pośrodku na granitowej podstawie elegancka witryna, a w niej — kawały aerolitu, który spadł w d. 12 marca 1899 r. w wiosce Bjurböle, pod m. Borga. Był to największy ze wszystkich dotychczas znanych: ważył 340 klgr. Spadając, przebił lód jeziora gruby na 70 ctm. i zarył się na 6 metrów głęboko w dnie, przyczem nagłe ochłodzenie rozsadziło go na wiele kawałów. Gdy spadał z wielkim grzmotem, widać było rozświetlenie atmosfery w całej Szwecyi środkowej, w prowincyach Nadbałtyckich, aż do Wilna. A oto zaraz rys charakteru ludu: dwaj chłopi, właściciele gruntu, na którym meteoryt znaleziono, otrzymawszy od komisyi geologicznej 500 fr., natychmiast ofiarowali tę sumę co do grosza na szkołę swej wioski.

Ściany głównej, podłużnej nawy pawilonu i tylnej jego części, podobnej do chóru romańskiego kościołka, ozdobione są licznymi freskami malarzy finlandzkich, jak Blomstedt, Edelfelt, Halonen, Gebhard, Enckelt, pani Solden, młody wieśniak J. Rissanen, przedstawiających widoki natury i typy ludzi. Rzeźbiarz, Emil Halonen, doskonale wykonał kilka płaskorzeźb w drzewie: renifera, wołu, człowieka na *ski*, sunącego po śniegu, to znów dwóch śpiewaków ludowych, siedzących naprzeciw siebie i improwizujących, jak zwyczaj każe, pieśń w formie dyalogowanej. Cztery zaś ściany kopuły środkowej zajmują cztery wielkie, świetnie skomponowane i wykonane freski Axela Gallena na tle narodowej epopei fińskiej „Kale-

---

SIOSTRA.

A w jaki to sposób zepsuł pan swą rękę? Tego jeszcze nie słyszałam.

MŁODZIENIEC.

Bawiąc na wsi, odbywałem w licznem towarzystwie konną przejażdżkę. Poniósł mię narowny wierzchowiec i wysadził z siodła. Cofnąłem wprawdzie stopy ze strzemion, ale prawej ręki nie zdołałem wyrwać ze skrętów cugli rzemiennych, któremi dokoła niej omotał dla zażycia z całej mocy wędzidła. Koń mię wziął pod siebie i zdeptał. Żelaznymi hacelami nowej podkowy nastąpił mi na lewą dłoń i zmiażdżył jej drobne kości. Prowincyonalny chirurg wyjął niektóre z nich, inne, także zgruchotane, zestawił, ale niedobrze. Poczęły próchnieć. Ręka spuchła, otwarły się wrzody, wieczyste rany. (*Z uśmiechem*): Tak już oto dwa lata żyję z tą moją towarzyszką. W nocy obok mnie leży, a za dnia dotrzymuje mi kroku. Jest ze mną, gdy się w minucie szczęśliwej uśmiechnę, czuwa nad lotem marzeń moich, skoro oczy przymykam. Czeka cierpliwie, do rana, do chwili przebudzenia, patrząc we mnie ołowianemi ślepiami, a kiedy dźwignę powieki, kładzie na nich płytę ucisku. Jak zła żona, którą twardy los skuł ze mną w przeklętą godzinę, pełna jest niezgruntowanej, przewrotnej zdrady i zemsty. Czeka, czeka zawsze, jakby ów orzeł skalny, na chwilę, kiedy będzie mogła utopić we mnie pazury.

SIOSTRA.

Teraz się już skończy to wszystko.

MŁODZIENIEC.

Tak jest, skończy się nareszcie. Nie wiadomo tylko, w jaki sposób. Ale o to mniejsza... Kilkakroć już chloroformowano mię i zawsze z obawą, gdyż mam w sercu coś groźnego. Jeżeli odejmą rękę, rozstanę się z nią za godzinę. Iluż to mężnych na wojnie... A z drugiej strony — jeżelibym umarł...

SIOSTRA

Więc i takie myśli pielęgnował pan tutaj?

MŁODZIENIEC.

I takie, siostro. Pragnąłem właśnie zapytać...

SIOSTRA.

Proszę, proszę....

MŁODZIENIEC.

Czy jest rzeczą możliwą, ażeby tego gatunku, co ja, człowiek ze wspólnej sali, był w razie śmierci pochowany na cmentarzu w miejscu wyjątkowem, mianowicie obok drzewa, obok pnia płaczącej brzozy? Czy uwzględnionoby taką „ostatnią wolę"?

SIOSTRA.

Nie jestem pewna...

MŁODZIENIEC.

To żądanie szalone, wiem o tem.

SIOSTRA *cicho*.

Dlaczegóż obok drzewa?

MŁODZIENIEC.

Nie chciałbym leżeć z nikim. To już na wieki... Nie chciałbym spać w murowanym sklepie, obok cegieł, ciosanych kamieni, stopionego metalu. Nie chciałbym gnijąc głową dotykać zeschłego wapna, które rzucała kielnia człowieka.

SIOSTRA.

Wszystko jedno, gdzie spocznie strudzone ciało.

MŁODZIENIEC.

Och, nie! Przenigdy! Przenigdy! Po śmierci tak samo jest, jak za życia. Wszystkiem rządzi przypadek, szczęście, kaprys doli. Drzewa kochają człowieka daleko bardziej, niż on je kocha. Nie darmo wierzył dziki Słowianin, że drzewo jest święte, że w niem dusze bogów obierają sobie siedlisko. Święte dęby! Kochałem je od dzieciństwa w sposób dziki. Uwielbiałem stojące w zimach srogich, w szalonych nocnych wichurach, gdy wspaniała zamieć w lasach harcuje. Kochałem jesień, która krwawą barwą gniewu zaprawia liście buków, gardzących z wierzchołka gór czeredą świerkową. Całe noce wiosenne spędzałem samowtór z Orestesem na wę-

vala." Oto bohater legendowy, uosobienie pracy, kowal Ilmarinen, wystawiony na ciężkie próby przez czarownicę Louhi, władczynię północnej Pohjoli, krainy ciemności, śmiało orze pole, pokryte syczącemi, jadowitemi żmijami, które depcze ciężką stopą. Oto naprzeciwko tenże Ilmarinen kuje w płomieniach „Sampo" talizman cudowny, zapewniający swoim posiadaczom dobrobyt i szczęście. Zawładnęła nim czarna Louhi; ale stary pieśniarz, główny bohater „Kalewali," Wäinämeinen, wykradł „Sampo," a uśpiwszy pieśnią Louhi, wyprzedził hen, daleko jej okręt na swej łodzi. Wtedy Louhi sama zamieniła się na okręt, będący zarazem orłem: sama na przodzie okrętu piersią chudą i twarzą drapieżną rozcina wodę i wicher, ogonem steruje, na plecach dźwiga maszt, a z poza rozstawionych skrzydeł u kościstych rąk, niby za bokami okrętu ukryci, rzucają pociski wojownicy pohjolscy. Ale najeżyła się spisami łódź Wäinameinena i sam godny starzec, z rozwianą siwą brodą i włosami, jedną ręką steruje, drugą mieczem błyskawice kreśli: to — głosi napis — „pod wodzą nieśmiertelnego wieszcza Suomii (Finnowie) bronią świętego palladyum, Sampo, od napaści Matki Ciemności." W boju połamało się Sampo, utonęła „kantele," cudowna gęśl Wäinämeinena, zrobiona z głowy wielkiej ryby, lecz fale wyniosły jedno i drugie na brzeg Finlandyi. — Melancholia wieje z czwartego obrazu: „krzyż," wzniesiony na wzgórku, na złomach granitu, „zwyciężył bogów pogańskich"; choć jeszcze resztka dymu z ogniska ofiarnego cienką smugą płynie ku niebu, milczy już na długie wieki *kantele* wieszcze, oparte o pień ściętego drzewa świętego... Milczy, póki nie uderzy na nowo w jej magiczne struny nieśmiertelny syn chłopa, Eliasz Lönnrot, odkrywca fińskiej epopei ludowej...

W małym swym pawiloniku Finlandczycy nie mogli pomieścić dzieł swojej sztuki; dano im na ten cel dwie osobne salki w dziale rosyjskim pałacu sztuk pięknych. Utworów rzeźby tam niewiele i z wyjątkiem „Chrystusa" Vallgrena i „Obrony" Vickströma — nic szczególnego. Malarzy natomiast wystąpiło sporo, i z utworami albo wybitnymi, albo mającymi przynajmniej cechy oryginalności. Tenże Axel Gallen daje jeszcze parę scen z „Kalevali"; szczególnie silne wrażenie wywiera stara matka trzeciego bohatera epopei, Lemminkäinena, siedząca na dnie przepaści przy nagim, okrwawionym trupie syna i patrząca błędnie jarzącemi oczami.

Pierwsze miejsce wśród swych malarzy przyznają Finlandczycy Albertowi Edelfeltowi: wyćwiczona i normalna technika, tryumfująca w takim np. głośnym portrecie pani Pasteur, łączy się u niego z prostotą i dość dużą dozą uczucia i poczucia ludowego. Widać je w „Rybakach i rybaczkach," niosących ciężkie sieci; w „Magdalenie," w ubraniu mieszczki, czy służącej, która, spotkawszy w lesie na brzegu jeziora białą postać Chrystusa, rzuca się przed nim na kolana; a najwięcej w „Inkantacyi": stara kobieta w białej sukmanie z czerwonymi wypustkami i w czerwonej czapce gra palcami na „kantele," rodzaju gitary, którą trzyma na kolanach. Eero Jarnefelt, drugi po Edelfelcie tryumfator, nagrodzony medalem złotym, daje dobre portrety, doskonale charakterystyczne pejzaże krajowe i typy chłopów przy gospodarstwie, to znów wykarczowujących grunt starym sposobem wypalania. Westerholm, Lindholm, Halonen—w krajobrazach, Enckell, Gebhard, pani Soldom-Brefeldt — w typach, oddają z siłą duszę ludu finlandzkiego, duszę, która przegląda z tych utworów zamyślona, skupiona, smutna, nawet przygnębiona czasem. Te ostatnie cechy do krańców, wprost do obłędnej melancholii doprowadza Hugo Simberg z Wyborga. Trudno o rzeczy tak dziwaczne, pod pewnymi względami dziecinne, a jednak równie przejmujące, jak jego dwa małe obrazki: „Jesień" i „Kwiaty śmierci." Wiecie, jak jest oddana jesień? Wykrzywiony szkielet z uśmiechniętą małpią głową podgryza samotne, schnące drzewo... A „Kwiaty śmierci"? — to jakiś straszny poemat Maeterlinckowski: Po ponurym pokoju o nagich ścianach przechadzają się szkielety w habitach zakonnych i płynem, który krwią jest chyba, podlewają z polewaczek dziwne suche i kolące kwiaty w doniczkach, ustawionych w równe szeregi... Nie, mylę się, to nie dla Maeterlincka: Oktawiusz Mirbeau to wybierze na symbol do jakiejś książki swojej — o wychowaniu klasztornem...

Sale artystów warszawskich graniczą i niemal zlewają się z finlandzkiemi w pałacu sztuk pięknych. I — niech mi będzie wolno wstawić ten nawias — gniew i żal porywa, gdy się z tamtych do naszych przechodzi, gdy się patrzy na te poprawne, z takim widocznym spokojem „robione" postacie królów, z siodła odbudowujących chrześciaństwo, organistów i księży, osoby w bieli i bez bieli, patrzące na gwiazdę „betleemską," konie przy wozach i portrety. Nietylko że banalne to wszystko, ale czemuż takie już we wszystkiem kosmopolitycznie banalne i poprawne, jakby umyślnie po to, żeby nic nikomu nie mówiło o cechach swojskich, o których pielęgnowaniu tyle się zawsze przecie mówi! Na wystawę powszechną tylko z czemś własnem i nowem w istocie iść warto; bo na akademicką technikę ludzie wolą patrzeć w obrazach tych—Francuzów, Niemców itd. — o których słyszeli i wiedzą. Zastrzegam się przytem wyraźnie, że z żalem mówię tylko o warszawskich salach, nie o ogóle malarstwa polskiego; bo wystawa krakowska, nieliczna a doborowa, urządzona w pawilonie austryackim, z Malczewskim i Witkiewiczem głównie, z Wyczółkowskim i Weissem, jest znakomita i oryginalna.

Kazimierz Krauz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Symbole.

Życie ludzkie jest podobne...

Czy po tylu porównaniach, któremi usiłowano określić tę zagadkę, wolno ją zaciemniać jeszcze bardziej nowem?

Trudno, jeśli nie możemy zajrzeć do wnętrza sfinksa, to przynajmniej obstawiajmy go naokoło płonącemi lampami, ażebyśmy widzieli jego postać...

Życie tedy jest tkaniną myśli i uczuć, której nici tworzą obrazy symbolów.

Kiedyś znalazłem się na zebraniu poświęconem uczczeniu pamięci wielkiego poety. Przez pierwszą godzinę obecni mówili o jego utworach, deklamowali z nich ustępy, przypominali sobie szczegóły jego żywota; pomału wszakże zaczęli rozprawiać o innych przedmiotach, spierać się, dowcipować, wreszcie zasiedli do kolacyi, po której większość rozeszła się do domów, a reszta przesypała sobie garść ane-

---

drówkach pieszych wskróś lasów, nad jeziorami. Któż potrafi wyrazić obcowania sam na sam ze wschodem słońca, pozdrowienia i pożegnania bratnie aż do tkliwości z chmurami i pierwszą burzą wiosny... Teraz jego już niema... Orestesa...

SIOSTRA.

Kto nie chce kochać ludzi, musi kochać drzewa i psy.

MŁODZIENIEC.

Tylko drzewa i psy wzajem miłują. Pies kochał mię aż do śmierci, a drzewo jest osłodą żyjących i kocha zmarłych. Rodzony ojciec i rodzona matka we trzy doby po zgonie wyniosą z własnej woli za próg swego mieszkania jedyne i najmilsze dzieciątko. Pozwolą obcym chłopom rozbijać skibami cuchnącego gruntu główkę, która była największą rozkoszą ich oczu, jakiej człowiek doświadczyć może; zgodzą się na to, że samo zostanie w nocy, pośród wiatru i deszczu na odległem cmentarzysku wśród trupów, zakopane w ziemi; przyzwyczają się do myśli o zgniłej wodzie, która mu zgnoi ubranko, o wodzie, co ściekać będzie po bezsilnej, ostygłej piersi, — o glinie, co zalepi usteczka wonniejsze, niż pąk różany. Ukryją myśl swą przed widokiem jego oczu samotnych, rozwartych na wieczny czas.

Wtedy brzoza płacząca zaczyna szukać go pracowicie. Korzeniami czułymi, jak włókienka zmiądlonego lnu, któż wie? — może bardziej tkliwymi, niż palce matki, namaca w ciemności i obejmie głowę bezsilną, opasze nagie żebra i szyjkę, o której ojciec zapomniał. Niémi cienkiemi jak włosy i dobrotliwemi, jak sen dotykać będzie miejsc gnijących i najbardziej zbolałych. Ssaniem, może czulszem od pocałunku czystej ufności między matką i córką w chwili tajemnej wspomnienia narodzin, wchłonie w łono swe pełne życia i świętych przemian krew skostniałą u drzwi serca i ostatnie łzy źrenic.

O, siostro, siostro...

Chwiać się w wierzchołku lipowym, w kole rodzinnem gęstych rózg, które z miłością zrastają się jedne z drugiemi. Najwcześniej witać, najpóźniej żegnać święte promienie i na ich ręku bez przeszkody wstępować między obłoki wolne, jak wiatr, nigdy do siebie wzajem niepodobne i wieczne. Mgłami nocnemi okrywać się, jak szatą, którą wśród rozkoszy i pieszczot zdaleka nadchodzący poranek cicho zdejmuje. Gdy styczniowy wicher, niby tabory zbójeckich wojsk, uderzy w lasy, przywdziewać osędziały pancerz z lodu. Tęsknić do błogosławionych deszczów w spiekocie, a do nocy w dzień pełen ciemności, wylęgłej w duszy chmur. Uczuwać, jak obok, blizko przepływają wody podniebne, gdy ciche błonia lazuru spustoszy nawałnica i dygotać z wielkiej bojaźni skoro z kłębów burzy runą na ziemię kamienie gradu. Zanosić się od wzruszeń sekretnych na widok białego księżyca, kiedy niespodziewanie objaśni światło swoje, wstępując na wysokość z pomiędzy nocnych obłoków. Ku pustyniom nieba wydzierać się z prochu tej ziemi i nawzajem przez niebo być wiekuiście objętym. Sprzymierzać się z niem, które jest najbardziej podobne do ducha ludzkiego, a jednak inne o nieskończoność, przybliżać się do czegoś, co jest bez początku i bez końca, do cudu nieomylnego światła i tajemnicy-ciemności, towarzyski przeszłych i przyszłych dni. Być uwolnionym nazawsze od istoty ziemskiego szczęścia i cierpienia, od widoku przemocy i dreszczów trwogi, od uczuwania w sobie dzikich żądz i nikczemnego dosytu.

SIOSTRA.

Serce pańskie prosi się o modlitwę, a myśli nizko błądzą...

(D. n.).

gdot lub odegrała kilka partyj preferansa. Nazajutrz widziałem tych samych ludzi wobec pustej trumny na katafalku przystrojonym kwiatami podczas nabożeństwa za duszę tegoż poety. Zupełnie inni: poważni, smutni, rzeczywiście wzruszeni, wdzięcznością i żalem. Sześć zbitych razem czarnych desek dało im podniosły nastrój. Mieli przed oczami nie wspomnienie, nie myśl, nie ideę, ale symbol.

Pomimo całego komizmu, jaki bije od ministra angielskiego, siedzącego w parlamencie na worku wełny, niech by który z radykalnych posłów zaproponował, ażeby usunięto to dziwaczne siedzenie i zamiast niego wstawiono fotel: cała Izba podniosłaby krzyk w obronie tradycyjnego wańtucha, bo on jest dla niej — symbolem.

Corocznie (ceremonia ta odbyła się przed paru tygodniami) królowa angielska otrzymuje dwa pęczki gwoździ i młotek jako należny jej czynsz za kawałek gruntu w Londynie, dawno zabudowanego. Gdyby jakikolwiek liberalny minister ośmielił się zaproponować jej, ażeby się zrzekła tego dziecinnego daru, spojrzałaby na niego równie zdumiona, jak gdyby jej radził, ażeby zrzekła się zwierzchnictwa nad Kaplandem.

Znałem męża bardzo przywiązanego do swej żony, która odwzajemniała mu się głęboką i stałą miłością: przetrwali oni rozmaite burze, targające ich związkiem i byli pewni, że on nigdy nie peknie. Ale gdy ów mąż po 30 latach pożycia zgubił ślubną obrączkę, zwątpił o trwałości swego szczęścia małżeńskiego i nigdy już swej dawnej wiary nie odzyskał.

Nie mogę nawet wyobrazić sobie, jak gwałtownemu przewrotowi uległoby życie nasze i jak ono wyglądałoby, gdyby z niego wyrwać nagle wszystkie symbole. Ludzie osłupieliby, oniemieli, stracili sprężyny ruchu i punkty oparcia dla swych dążeń, nie wiedzieliby, co myśleć i co czuć. Jeżeliby zaś z tego ich pognębienia wydobył się jakiś krzyk rozpaczliwy, to chyba ten: zabierzcie wszystkie idee, wszystkie przekonania, zasady, prawdy, reguły, a zostawcie nam tylko widome ich znaki.

Między tymi znakami jest jeden, szczególnie nas hypnotyzujący, mianowicie mundur studencki. Czego myśmy nie zawinęli w te kilka łokci ciemno - zielonego lub granatowego sukna! Najszlachetniejsze pobudki, najszczytniejsze cele, najczulszą wrażliwość na wszystko, co prawdziwe, piękne, dobre. A jeżeli czasem to sukno pęknie i z jego dziury wylezie łachman brudnej duszy, ogarnia nas rozpacz. Jakto, brud w takim pięknym symbolu!

Wiara weń ma swoją dobrą racyę. Nie jest to bowiem wiara w sukno, w guziki, w matrykułę, w duchowy pokarm szkoły, ale w młodość. Przypomnijmy ją sobie wszyscy, przypomnijmy sobie tę śliczną wiosnę, w której dusze nasze pachniały jak kwiaty, uczucia wylewały się jak fale żaru, myśli biegały pod niebem jak orły. Świat wydawał nam się zacnym, dobrym ojcem, któremu ciągle rzucaliśmy się na szyję, chociaż nieraz biedni, głodni, zmordowani nadmierną pracą. Jak nam wtedy wstrętne były wszelkie nizkie pełzania, kręte zabiegi, samolubne rachuby, do których pokusy rzuca ludziom wiek późniejszy! Żyłem śród młodego grona tak zwanych „pozytywistów“ i „materyalistów.“ Ach, jakiż to był ten pozytywizm i materyalizm w praktyce! Ćwierć obiadu przeciętnie na dzień, kołnierzyk bez koszuli przyszyty do munduru lub surduta, buty z wentylatorami, rozum brodzący po nieskończoności, głowa w obłokach, oczy w słońcu, myśl w pogoni za przyszłością. Co, taki „materyalista“ targowałby się o honoraryum, ożeniłby się z posażną panną, byłby wodzirejem na balach? Grosz od wiersza, ślub z biedną lub upadłą dziewczyną, ruszanie ziemi z posad przy herbacie z suchą bułką. Były to bohaterstwa zacnej, gorącej, niewinnej młodości. Taką ona bywa zwykle: chociaż nie ma jeszcze wiedzy, doświadczenia, pewnego probierza w rozpoznawaniu istotnych prawd, czystych cnót i trwałych uroków, ma świeżą wrażliwość, bezwiedny instynkt, który jej pozwala trafnie odczuwać i zgadywać. Jest ona podobna do owej świętej niewiasty, do której przykładano rozmaite krzyże i która drgnęła przy prawdziwym. A ponieważ jest taką często, żądamy, ażeby taką była zawsze. Gdy wobec przelatującego meteora stary oracz lub rabuś życia myśli, ile tam gdzieś spadnie żelaza, uważamy tę ciekawość znieprawionego trudem i walką człowieka za naturalną; ale gdyby w tym meteorze młodzieniec dojrzał coś więcej nad śliczną smugę świetlną, sprawiłby nam odrazę. Niech później liczy, waży, wydziera, pochłania, skoro swą duszę wyprowadzi ze świątyni jej dziewictwa, teraz wolno mu ją tylko trzymać nad świętym ogniem.

Oto jaką urną symboliczną ma być mundur studencki.

Ależ nosząca go, z różnych stron i pól zgarnięta gromada, jest miniaturowem społeczeństwem, w którem, pomimo nawet przewagi pewnych pierwiastków właściwych młodości, zarysowywa się już wyraźnie oblicze ogółu. Przecież to nie dobór, ale mieszanina, w której wszystkiego jest potrosze. Tam już dojrzewają równie filistrzy, karyerowicze, łowcy ryb w mętnej wodzie, pasorzyty, pudle salonów, przyczepy pańskich klamek, soliści i chórzyści dobrego tonu, ogary spekulacyi, wyzyskiwacze cudzej pracy i niedoli, krętacze prawni, kuglarze medycyny — rozmaite gatunki ludzkie, które płyną wierzchem lub spodem życia. Te ćmy i motyle także wykształcają się owinięte podobnym kokonem, jak jedwabniki. Czcicieli zielono-niebieskiego symbolu albo to gniewa, albo smuci. Dlaczego? Jedną z najpodlejszych hyen rewolucyi francuskiej był niejaki Łazowski. Mordował jak gilotyna, obdzierał trupy, kradł, podpalał, nurzał się we wszelkich zbrodniach. Nie słyszałem, ażeby z powodu tego łotra nasz patryotyzm kiedykolwiek wstydził się lub płakał. I słusznie. W wyrazie: „Polak“ mogą spoczywać najszlachetniejsze pierwiastki, ale jakaś domieszka niecnoty wciskać się musi. Czyż podobna, ażeby każda głoska wyrazu „student“ była promieniem siedmioramiennej gwiazdy? — A przecież tego odeń nieraz wymagają...

Niedawno ktoś w rzeczywistości, czy w swej wyobraźni dojrzał kilka mundurów studenckich tam, gdzie owa wiośniana młodość kurzy się, plami i kala. Zaraz na wieży jednego z dzienników wywieszono znak ostrzegający z jaskrawą latarnią — i alarm poszedł dalej. Skrzywdzony posądzeniem i niesprawiedliwością mundur zaczął się bronić w prasie, a parę jego odstrzałów padło również z kolumn *Prawdy*. Miał on sprawę dobrą i zwycięztwo łatwe. Bo nie chodzi o to, czy on czasem nie ukazuje się w jakimś wstrętnym ścieku życia, ale o to, czy on często ukazuje się tam, gdzie go czysta młodość wodzić nie powinna, czy jako typ społeczny zwraca wzrok ku wyżynom lub topi go w błocie nizin. Z wielotysiącznego tłumu różnorodnych istot każdy może sobie według woli wybrać i schować pod płaszcz jakiegoś studenta, którego na dowód swej racyi przedstawi w sofistycznym sporze bez końca; lecz czyż ten spór ma się rozstrzygnąć wystawą prób i ocenianiem jednostek? My musimy odpowiedzieć, jaką jest masa, a przynajmniej większa jej część, jakim jest przeważny gatunek, jego moralna natura, wysokość nastroju, kierunek myśli i lot uczuć. Otóż kto nie chce i nie umie być tylko donosicielem jednostkowych przewinień i oderwanych objawów; kto nie jest wyżłem reporterskim, wystawiającym pojedyncze stadka i sztuki zwierzyny kronikarskiej, lecz chce i umie być obserwatorem społecznym, ten musi przyznać, że nasi studenci należą do najszlachetniejszych odmian tego rodzaju młodzieży. Kto za granicą w Niemczech, Francyi, Włoszech widział w instytutach i uniwersytetach te gromady wilczków, wyjących z dziką radością wobec tryumfów wstecznictwa, gwałtu i okrucieństwa, kto je widział zagryzające się o kawałek mięsa, o samicę, o legowisko, o prawa do wyłącznego zajmowania ostępów leśnych, kto widział te postacie barbarzyńsko przystrojone, barbarzyńsko porąbane, barbarzyńsko rozbestwione pijaństwem i rozpustą, ten w ręce naszych studentów może tylko włożyć lilie i narcyzy, jeśli nie palmy. Dlatego to ich mundur pozostaje dotąd symbolem, który nas głęboko i czule wzrusza, a gdy go nawet czasem unosi jakaś mętna fala życia, powinniśmy nań patrzeć bez zgrozy, lecz z tym smutkiem, jakiego doznajemy na widok kwiatu płynącego z brudnym potokiem.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

Z literatury ekonomicznej

OSTATNIEGO DZIESIĘCIOLECIA.

Podręczniki i encyklopedye.

III.

Obie próby stworzenia zbiorowych podręczników ekonomii politycznej nie udały się [1]) i prawdopodobnie nowa próba nieprędko będzie podjętą. Wprawdzie na podręcznik Wagnera, którego ukazała się dopiero część pierwsza, złożyła się praca kilku osób, można go jednak uważać za dzieło Wagnera, gdyż on to opracował w nim całą teoretyczną ekonomię i naukę finansów i sam wypełnił większą część podręcznika. Jest to tedy właściwie praca, dokonana przez Wagnera przy pomocy i współudziale Dietzla, Büchera i Buchenbergera, z którymi go łączy wspólność ideowa i którzy ograniczają się do opracowania kwestyj praktycznego zastosowania wyników wiedzy ekonomicznej.

Jeżeli doświadczenie dotychczasowe wykazało niemożliwość stworzenia podręcznika zbiorowego, nie znaczy to jednak, by idea syntezy kierunku historycznego z psychologiczno-matematycznym, jak również idea zbiorowych prac informacyjnych o obecnym stanie ekonomii politycznej została zaniechana. Bynajmniej. Wybrano wszakże inną dla niej formę. Powstał mianowicie z jednej strony wielki, ośmiotomowy (sześć tomów i dwa dopełnienia) słownik nauk społecznych [2]), prawdziwa encyklopedya ekonomii politycznej i polityki społecznej, zawierająca artykuły 264 autorów, z drugiej — szereg podręczników

---

[1]) *Grundlegung der polit. Oekonomie*: (Rozdziały: „Grundlage d. Volkswirtschaft u. Recht,“ „Finanzwissenschaft,“ „Finanzbedarf,“ „Privaterwerb,“ „Theorie der Besteuerung,“ „Allgem. u. spezielle Steuerlehre“ — napisał Wagner, „Theoretische Sozialoekonomie“ — napisał Dietzel. Prócz tego Buchenberger ma opracować politykę agrarną, a Bücher — politykę leśną, przemysłową i handlową).

[2]) *Handwörterbuch der Staatswissenschaften*, wyd. J. Conrad, L. Elster, W. Lexis i E. Loening. 1890—1897.

poszczególnych autorów, w których ci ostatni usiłują stworzyć syntezę głównych, panujących dziś w ekonomii politycznej prądów i szkół. Na szczególną uwagę zasługują tu przedewszystkiem prace Wagnera, Gide'a, Cauwes'a, Marschalla, Cossay'a i Philippowicha.

Pierwsza część podręcznika Wagnera, poświęcona teoryi gospodarstwa narodowego, nosi tytuł: *Lehr- und Hanbuch der politischen Oekonomie. Erste Hauptabteilung. Grundlegung der politischen Oekonomie.* 3 Auflage, 1892—1893. Wydawaćby się z tego mogło, iż jest ona nowem tylko wydaniem dawnego jego podręcznika z r. 1875/6. W rzeczy samej jednak jest to zupełnie nowa praca. Gdy bowiem pierwsza edycya „podstaw ekonomii politycznej" stanowi tylko opracowanie Rau'a [1]) i całkowicie jest trzymaną w duchu klasycznej ekonomii realistycznej, której ostatnim reprezentantem w Niemczech był Rau — to wydanie trzecie jest własnym, oryginalnym utworem Wagnera, w którym i śladu idej Raua dopatrzyć się już nie sposób.

Wagner był zawsze umysłem syntetycznym. Przed trzydziestu laty, gdy w Niemczech wrzały jeszcze ostatnie walki pomiędzy szkołą historyczną a klasyczną, Wagner stanął po stronie tej ostatniej i wyraźnie podkreślił konieczność dedukcyi w badaniach narodowo-gospodarczych, broniąc istnienia ścisłych praw ekonomicznych, dających się poznać i określić przedewszystkiem drogą analizy dedukcyjnej. Jednocześnie wszakże zrobił on ustępstwo dla kierunku historycznego, oświadczając, że ściśle te prawa dotyczą jedynie istoty, nie formy przejawowej zjawisk narodowo-gospodarczych. Te ostatnie, mówił on, są zawsze z jednej strony—kategoryami historycznemi, zależnemi od warunków czasu i miejsca, zjawiskami zmiennemi, powstającemi w pewnej określonej epoce dziejowej, by w następnej uniknąć lub przekształcić się do niepoznania, z drugiej — kategoryami ekonomicznemi niezmiennemi, wynikającemi z samej natury świata i naszego doń stosunku. Formy wartości, ceny, kapitału zmieniają się, istota ich wszakże pozostaje wciąż ta sama. Zadaniem ekonomii politycznej jest zbadać przedewszystkiem tę ich istotę, określić prawa kategoryj ekonomicznych. Ekonomia klasyczna zadanie to spełniła, należy więc w tym względzie iść jej śladami. Przeoczyła ona wszakże historyczny charakter zjawisk narodowo-gospodarczych i o tyle też wymaga uzupełnienia. Zgodnie z tem uzupełnił Wagner podręcznik Raua rozbiorem zjawisk ekonomicznych, jako kategoryj historycznych.

Zasadnicze to stanowisko zachował Wagner i w najnowszym swym podręczniku. Porzuca już w nim jednak właściwy ekonomii klasycznej pogląd na istotę zjawisk ekonomicznych, jako objektywny stosunek wzajemny rzeczy do ludzi, stosunek z niezmiennej natury otaczającego nas świata, lecz sięga dla zrozumienia jej do duszy ludzkiej, w sądach i uczuciach naszych, w ocenie świadomości potrzeb naszych szukając źródła pojęć i urządzeń narodowo-gospodarczych. W ten sposób zbliża się on znacznie do szkoły wiedeńskiej, zwanej „ścisłą" lub „psychologiczną." Pojmuje on jednak psychologiczny charakter zjawisk ekonomicznych nieco szerzej, niż ta ostatnia. Gdy bowiem szkoła psychologiczna ogranicza swe badania jedynie do analizy naszych potrzeb, stopnia odczuwania ich i wynikającej stąd oceny dóbr gospodarczych, jednem słowem do analizy procesu poznania wartości, przyczem operuje wciąż jednostką ludzką, wyzutą z wszelkich stosunków społecznych, Wagner stara się jednocześnie zrozumieć i określić czynniki psychologiczne, skłaniające nas do działalności gospodarczej, wpływające na ukształtowanie się odnośnych naszych aktów woli, jak również czynniki, pobudzające nas do współdziałania w życiu gospodarczem z innemi jednostkami. Szkoda tylko, że porzuciwszy racyonalistyczne teorye ekonomii klasycznej, nie przestaje być racyonalistą na gruncie psychologii i zamiast przyczynowego objaśnienia takich zjawisk psychologicznych, jak uczucie solidarności społecznej, dążenie do zysku itd., podaje nam tylko nazwy różnych „dążeń" (Triebe) i „popędów" (Neigungen), jak gdyby „dążenia" i „popędy" były prostymi, samo przez się zrozumiałymi stanami świadomości. Zamiast więc wyjaśnienia psychologii życia ekonomicznego, otrzymujemy jedynie klasyfikacyę, i to dość powierzchowną, czynników naszej działalności gospodarczej. Nie da się wszakże zaprzeczyć, iż jest to, w stosunku do szkoły Mengera, znaczny krok naprzód. Wagner analizuje sądy i uczucia człowieka żyjącego w społeczeństwie i odczuwającego nietylko swe własne potrzeby, lecz i swego narodu, względnie klasy, do której należy. A że zjawiska narodowo-gospodarcze są zjawiskami życia społecznego, więc też o tyle tylko badania psychologiczne istotę ich wyjaśnić nam zdołają, o ile badać będziemy nie jednostki i ich indywidualne przejawy duchowe, lecz „jednostki społeczne" i ich stany świadomości, wypływające z współżycia społecznego. Wagner w każdym razie wskazuje istnienie tych ostatnich i mniej więcej ściśle je określa.

Dzięki temu sformułowane przezeń prawa ekonomiczne o wiele łatwiej pozwalają nam zrozumieć rzeczywistość empiryczną, niż prawa wyprowadzane przez Mengera, Zuckerkandla, Lehra, trzymających się tej zasady, że teorya nic da się sprawdzać na przykładach życia realnego. Zarówno ci, jak Wagner uznają konieczność abstrakcyi. Wagner wszakże stawia jej pewne granice. Abstrakcya w nauce jest niezbędną i potrzebną, ale abstrahować może ona jedynie od podrzędnych, przypadkowych okoliczności. Wagner nie zadawala się również w swym podręczniku formułowaniem istoty samej praw narodowo-gospodarczych, lecz stara się wciąż jeszcze o wykazanie zmian, zachodzących w ich działaniu pod wpływem różnic czasu i miejsca, pod wpływem ewolucyi politycznej, moralnej, prawno-państwowej narodów. Związek ten życia ekonomicznego z życiem prawno-politycznem społeczeństw stanowi główną treść drugiego tomu jego „podstaw ekonomii politycznej."

Podobne nieco stanowisko zajmuje w teoryi i Gide. Stara się on również o połączenie kierunku „ścisłego" z „historycznym" z jednej, a z dawnym „klasycznym" — z drugiej strony. Na ogół wszakże jest to umysł o wiele mniej głęboki, mniej filozoficzny. Gdy Wagnerowi chodzi przedewszystkiem o syntezę metody i zasadniczych pojęć, by drogą tej syntetycznej metody samodzielnie kroczyć ku poznaniu i zrozumieniu budowy gospodarczej społeczeństw, Gide szuka przedewszystkiem połączenia różnych, przez poszczególne szkoły głoszonych poglądów, w pewne całości logiczne. Wagner jest umysłem syntetycznym, jednoczącym indukcyę z dedukcyą; Gide zaś — to przedewszystkiem eklektyk. Cieszy się on u nas wielką popularnością i parokrotnie podręcznik jego był na język polski przetłomaczony. Nie wydaje mi się jednak sympatya ta zasłużoną. Dla społeczeństwa francuskiego położył Gide wielkie zasługi, zaznajamiając je z nauką niemiecką, zrywając z rutyną, która aż do ostatnich czasów kazała ekonomistom francuskim trzymać się niewolniczo dróg, wytkniętych przez klasyków — Say'a, Bastiat'a, Rossi'ego. Lecz nie widzę, co on tak bardzo dobrego przynieść może, by go aż po raz drugi tłomaczyć. Kierunek manchesterski u nas nigdy się nie był przyjął. Jedyny jego przedstawiciel poważniejszy, Dominik Krysiński, choć wykładał w uniwersytecie warszawskim, nie wywarł jednak ani na piśmiennictwo nasze, ani na poglądy naszych mężów stanu żadnego zgoła wpływu. A Skarbek, który po nim objął katedrę w r. 1820, nadał ekonomii klasycznej u nas kierunek tak dalece narodowy, tak silnie kładł nacisk na potrzebę badań empiryczno-historycznych, tak wyraźnie wyłożył zależność zjawisk narodowo-gospodarczych od ogólnego rozwoju kultury narodowej, że tem samem ekonomiczna wiedza nasza już w trzecim dziesiątku lat stanęła na tem zasadniczem stanowisku, jakie ekonomia niemiecka zajęła dopiero o 20—30 lat później, a francuska dopiero przed dziesięcioma laty. Nieszczęśliwe okoliczności wewnętrzne przerwały bieg naszej samodzielnej myśli ekonomicznej. Ekonomiści nasi albo przenieśli się za granicę i dla obcego narodu pracując, obcym duchem przesiąkli (Wołowski), albo, na obczyźnie dojrzewając, chociaż cechy umysłu polskiego zachowali i wciąż potrzeby narodu swego mieli na oku, to jednak, oderwani od gruntu literatury rodzimej — tworzyli „polskie szkoły gospodarstwa narodowego" z pierwiastków francuskich i amerykańskich (Supiński). W każdym razie jednak posiew literatury naszej z czasów Królestwa Polskiego nie poszedł na marne. Stanowisko historyczno-narodowe w nauce gospodarstwa narodowego stało się dla nas samo przez się aksyomatem zrozumiałym. Więc gdy z odrodzeniem wszechnicy Jagiellońskiej oraz ożywieniem się ruchu umysłowego w Warszawie przed laty czterdziestu, zaczęła się zwiększać nasza produkcya naukowej literatury ekonomicznej, najłatwiej trafiły do nas wpływy niemieckie. Wcześniej, niż Gide we Francyi, aklimatyzował u nas szkołę historyczną Biliński. Bez Gide'a więc pod tym względem moglibyśmy się obyć. Co prawda, podręcznik jego jest zwięzły, krótki: w jednym tomie podaje nietylko teoryę gospodarstwa narodowego, lecz i politykę ekonomiczną i skarbowość, a przytem łatwo się czyta i jest zajmujący. Są to bezwarunkowo wielkie zalety, których żaden inny bodaj podręcznik nie posiada. Im zaś zawdzięcza swoją poczytność. Lecz są to wyłącznie zalety zewnętrznego obrobienia literackiego. Po za tem jednak treść tego podręcznika przedstawia niebezpieczne dla ucznia wady, wypływające przedewszystkiem z jego charakteru eklektycznego. Oto jeden przykład charakterystyczny: Ricardo, a za nim Marx, dowodzili, że miarą wartości jest praca; ekonomiści manchesterscy — że określa ją jedynie zapotrzebowanie i zaofiarowanie; szkoła wiedeńska sprowadziła wartość do oceny dóbr ze względu na siłę naszych potrzeb, które tem dobitniej odczuwamy, im mniej były zaspokojone poprzednio. Gide łączy te wszystkie poglądy w następujących trzech zdaniach:

„Rzeczy posiadają mniej lub więcej wartości, zależnie od tego, czy je mniej lub więcej pożądamy." „Pożądamy ich słabiej lub silniej zależnie od tego, czy mniej lub więcej niedostatek ich daje się nam odczuwać." „Niedostatek ten przejawia się tem silniej, im trudniej jest liczbę ich zwiększać."

Na pierwszy rzut oka śliczna synteza. Istotnie jednak nic nam ona nie daje. Na zasadzie jej bowiem nie rozwiążemy ani pytania, jak się przedstawi wartość dóbr, równie trudnych do wyprodukowania, lecz zadawalających różnorodne potrzeby, ani też zagadnienia, dlaczego wartość wyrobów *przemysłu* zależy niemal wyłącznie od kosztów produkcyi, wartość zaś owo-

[1]) Tytuł nawet brzmi: *Lehrbuch d. polit Oekonomie*, von K. H. Rau, vollständig neu bearbeitet von A. Wagner.

ców chodowli, ogrodownictwa — od ich gatunku. Nie zrozumiemy również, w jaki sposób oceny indywidualne wartości dóbr ze względu na nasze potrzeby stają się wielkością objektywną tak dalece, iż nawet tracimy świadomość subjektywnego pochodzenia wartości, lecz ją za wewnętrzną własność rzeczy uznajemy.

W podobny, powierzchowny sposób prześlizguje się Gide nad wszystkiemi kwestyami teoretycznemi. Nie zdaje się nam, aby to mogło mieć dobry wpływ na ucznia. I tak już jesteśmy skłonni do dyletantyzmu, do zbyt pospiesznych uogólnień. Czego nam przedewszystkiem potrzeba, to przyzwyczajenia się do gruntownego, sumiennego badania. Podręcznik Gide'a tego nie nauczy, przeciwnie, uczy on obchodzenia najtrudniejszych zagadnień.

Ma on jeszcze i tę wadę, że traktuje wszędzie w jednym ciągu kwestye teoretyczne i praktyczne, nie zachowując zupełnie rozdziału między teoryą gospodarstwa narodowego, tj. przyczynowem objaśnieniem zjawisk ekonomicznych, a polityką ekonomiczną. Tymczasem teorya dziś jest tak mało jeszcze ugruntowaną, że bezpośrednio wyprowadzając z „praw“ ekonomicznych — ekonomiczne „żądania,“ musimy z konieczności popaść w doktrynerstwo. Gide sam, dzięki wielkiej ruchliwości swego umysłu, doktrynerstwa uniknął, lecz też i związek, jaki między teoryą a praktyką ustanawia, jest niemal żaden.

Dr. Stanisław Grabski.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Or-Ot. (Artur Oppman)

Śpiewne tony twej piosenki, takiej cichej, drżącej
Na me serce padły krwawe, jak balsam kojący.
. . . . płynie piosnka w dal
Coraz wolniej, coraz ciszej, niby łzy i żal.

Jeżeli autor wydaje po wieloletniej często działalności „Wybór“ swych pism, jest to niewątpliwie oznaką, że pragnąłby skupić niejako wyniki swej pracy w utworach najbardziej znamiennych i przedstawić je na sąd ogółu. Nie dziw tedy, iż w podobnych razach zbudzi się i w czytelniku chęć zdania sobie sprawy z całokształtu działalności owej, zjawia się pokusa ujęcia całkowitej fizyognomii pisarza, jak się ona nam ukazała w kolei lat, niezależnie od doraźnej zawartości tej lub owej jego książki. W roku bieżącym kilku naraz poetów upomniało się o swe prawa do spotęgowanej z naszej strony uwagi, a wśród nich widzimy i Or-Ota (Artura Oppmana). W jego książce (*Wybór poezyj*: Warszawa, 1900) znajdujemy wiele rzeczy nowszej daty, natomiast nie dostrzegamy całego szeregu utworów, zebranych w licznych zbiorkach, jak „Wiosenne kwiecie“ itp., a którą należałoby chyba poddać specyalnej krytyce pedagogicznej. Or-Ot będzie tedy dla nas autorem jeno „Poezyj“ (1889), „Pieśni“ (1894), większego poemaciku „Nala“ (1896) i „Na obcej ziemi.“ Pomysł „Nali“ (rozkładowy wpływ upojeń zmysłowych na talent) nie został podniesiony do wyżyn poezyi i przedstawia się dość nikle; zresztą widzimy go parokrotnie w „demonach“ pieśniarza. Co do najwcześniejszego zbiorku, znamionuje on dobę zupełnie niewolniczego przejęcia się poety natchnieniami swych poprzedników. W ogólnym romantycznym kolorycie jego poezyj łatwo rozpoznać ślady oddziaływania stylu Słowackiego; rozczytanie się autora w Konopnickiej również pozostawiło na nich tu i owdzie swe piętno; lecz zwłaszcza zapatrzenie się na Asnyka było tak wielkie, iż z trudnością chyba możnaby wskazać, co było tam oryginalną własnością samego poety czy to w formie, czy w ogólnym kierunku jego wyobraźni, czy nawet w pomysłach szczegółowych. Za Asnykiem wypowiada on wojnę współczesnemu światu, który jakoby wyziębił swe serce i wziął rozbrat z szlachetnemi uniesieniami, goniąc za użyciem; za Asnykiem walczy z „potwarcami pieśni“ i rzuca tęskne spojrzenie ku wiekom średnim. Jak zwykle w przeciwstawieniach romantyzmu materyalistycznemu i pozytywnemu wiekowi naszemu, przeszłość pojęta jest szablonowo w nieswojskiej postaci wypraw krzyżowych, trubadurów, królewien, poglądających z gotyckich okien wieży, złotowłosych paziów, zamodlonych u stóp królowych, zamków, otoczonych wałami itd. Naprawdę jednak w tej poezyi polemicznej wszystko to występuje tylko ubocznie, tylko w kształcie napomknienia; u Or-Ota można się doszukać zaledwie kilku utworów, osnutych istotnie na motywach średniowiecznych, jak przeniesione do „Wyboru“ z dawniejszych „Pieśni“: „Grób nad morzem“ i „Śpiewak zwycięzca“—jak nowsza „Romanca o złotowłosym paziu.“ Zazwyczaj zamiast obrazów spotykamy się jeno z westchnieniem: były niegdyś tak czarowne a idealne czasy, a oto dziś na miejscu zamków pobudowano fabryki. Rzecz jednak ciekawa, czy wielu śpiewaków średniowieczczyzny uszczęśliwiłoby jej wskrzeszenie? Sądzę, iż o ile są szczerymi marzycielami, lubiącymi się otaczać widmami swej wyobraźni, rzeczywistość romantyczna, o ile by się mogła w życie wcielić, napełniłaby ich, jak każda rzeczywistość, wstrętem niemniejszym od naszych prozaicznych czasów.

Nie potrzebujemy tu podawać przykładów wzorowania się poety na formie El..ego, ani też zliczać reminiscencyj w rozwijaniu drobniejszych pomysłów, u tegoż zapożyczonych. Wskażemy jeno obszerny stosunkowo dział erotyków: w duchu Heinowsko-Asnykowskim, opiewającym zdradę niewiasty. W porównaniu atoli z pierwowzorem tony tu są mocno złagodzone. Sarkazm nie płynie łatwo z serca poety, choć się doń zmusza. Gdy El..y np. przerywa sobie sielankę księżycową ironicznym zwrotem: „*o dobrym myśląc noclegu*, poznamy wkrótce, iż był to sen“ — u Or-Ota tylko „niepokoje i tęsknoty mącą chwile niebowzięcia, uśpionemu sercu wróżą jakieś szepty tajemnicze, że niedługo pierzchną czary, przyjdą smutki i gorycze.“ Pierwotne ostrza, stępione już przez Asnyka, w tym trzecim swym stopniu utraciły wszelką jadowitość. I właśnie to złagodzenie tonów jest pierwszą oznaką stawania się Or-Ota sobą. Osobowość jego w postaci niemal skończonej występuje w „Pieśniach,“ osobowość niezbyt wydatna, nie odznaczająca się jaskrawymi rysami, a jednak dość wybitna, żeby w chórze śpiewaków naszych zachować swą odrębność. Jej gruntem jest usposobienie łagodne i miękie; czynny wysiłek, nawet w pożądaniu, do jej pierwiastków nie należy; nic zatem dziwnego, iż, pomimo zapowiedzi (w kilku ostatnich utworach pierwszego zbiorku), z Or-Ota nie wyrósł bojownik, któryby mógł zawołać: „wichru nie straszą mnie zgrzyty, ani się gromów nie trwożę, lecz śmiało idę na szczyty przez mroków morze.“ Duch poety nie ujmuje pełni życiowej. Każdy kształt rzeczywisty przybiera dlań lotną postać wizyi, każdy gwałtowny wybuch gniewu lub oburzenia roztapia się w rzewną skargę, każdy namiętniejszy rzut krwi, każde wezbranie uczucia kładzie się u stóp naszych cichą falą roztkliwień, w której drga i skrzy się światło księżyca; każdy ból lub szczęście owija się mgłą wspomnienia lub rezygnacyi. „Gdy się chwieję wśród życiowej drogi, gdy mnie zwątpień opadną katusze, wtedy wzywam jeden obraz błogi, co łagodzi moją smutną duszę; wzbiera w sercu rzewnych uczuć fala, w dal pierzchają zniechęcenia mgły — i znów uśmiech usta mo okala, choć po twarzy spływają mi łzy.“ Kiedy poeta wydaje krzyk boleści, że „okiełznany mój duch zwinął skrzydła, jak ptaszę“ — krzyk ów niebawem przeistacza się w tęskny szept. „Z za więziennych mych krat, gdzie konanie i żal, niech ulecą w namiętnym zachwycie w bezgraniczny gdzieś świat, w nieskończoną gdzieś dal...“ Przypomina się nam tu „Berezyna,“ w której odzywają się niespodzianie spiżowe dźwięki. Rzuciwszy przecież okiem na utwór ten, czytelnik łatwo dostrzeże, *czyje* one są i *skąd* pochodzą.

Czy uczynimy poecie zarzut z bierności jego usposobienia, z niezdolności do wybuchów i rozbujałych uniesień? Bynajmniej. Jest takim, jakim jest, i daje nam i sobie to, co ma. W każdym razie ustrzeżemy się od błędu, aby brak szerokiej skali odruchów poczytywać za oziębłość czy oschłość uczucia. Po śmierci Asnyka czytaliśmy artykuł, w którym jeden z wybitniejszych naszych poetów utrzymywał, iż temperatura we wnętrzu El..ego wahała się w szczupłych granicach naokoło *zera!* Tak powiedziano o tym serdecznym pieśniarzu, zahypnotyzowanym przez całe życie jedną myślą i jednem uczuciem, o pieśniarzu, przed którego oczami stało wciąż żałobne widmo, umarła myśl pokoleń!... Jaskrawe błyski bierzemy często za dowód siły płomienia, a lekceważąco mijamy ognisko żaru wielkiego, lecz gorejącego spokojnie i ukrytego w matowomlecznej, przeświecającej kuli. Nie myślimy zgoła porównywać Or-Ota z El..ym, bo nie są to wielkości współmierne; chcieliśmy jeno zaznaczyć, że uczucie, w objawach swych łagodne, niemniej tkwić może w głębszych warstwach duchowych i posiadać wszelkie znamiona trwałości; chcieliśmy tylko powtórzyć za poetą, że „to nie apatya, nie sen, nie konanie, to nie ucieczka z nędz pełnego świata, ale duchowe, ciche jakieś trwanie“; że „dla biednej duszy zbolałej i chorej jest w takiem życiu ukojeń zdrój czysty: w nieogarnione patrzeć gwiazdozbiory i brać z nich jakiś spokój wiekuisty.“

I jeszcze tu jeden dodać musimy rys, usposobiający przychylnie dla poety — to jego bezwzględna szczerość, jakiś ton serdeczności, jakaś miara, która daje się wyczuwać w każdej zwrotce i wierszu, w każdem słowie niemal, ów ton i miara, które sprawiają, iż poeta, nie wyolbrzymiając swych uczuć i cierpień, porusza nas przecież; jakaś wielka prostota słów rzewnych i śpiewnych, a płynących wprost z duszy. Gdy np. „z goryczą w sercu, z chmurą na czole“ przy wtórze wichru jesiennego pisze w samotnej swej izdebce „ostatni list“ do niegdyś „bliskiej,“ dziś „dalekiej,“ przerywa sobie nagle. „Żegnać się z tobą? *A nam się zdało*, że będzie wiecznie kwitł czarów kwiat, żeśmy złączeni na wieczność całą...“ Cóż, „dzieje tak proste, ot, jak innych tyle...“

Właściwości, o których mówiliśmy, to oczywiście, dopiero tło, na którem koleje życia, wpływy bliższe lub dalsze wypisać mogą różnorakie wzory; rysy owe mogą też łączyć się z rozmaitymi duchowymi czynnikami, i każdorazowe skojarzenie takie w tym lub innym osobniku odmienny koloryt nada kierunkowi twórczości poety. Pewien brak pierwiastków czynnych w organizacyi duchowej, równowaga i słodycz w usposobieniu mogą np. zaostrzyć wzrok spostrzegacza, wpłynąć na dosadność, to znów na subtelność rysów

w odtworzonych kształtach świata rzeczywistego; lecz właściwości te mogą również zespolić się z upodobaniami marzycielskiemi; mogą zarówno iść w parze z rozwiniętą pobudliwością na jasne lub znowu na ciemne strony życia. Już przytoczone ustępy mogłyby nasuwać wniosek, który potwierdzi bliższa znajomość poezyi Or-Ota, że jest on urodzonym marzycielem, i że w jego poetycznym na świat poglądzie przeważa bardzo wyraźnie zaznaczona skłonność ku melancholii. Skąd to pochodzi? „Tak mało kwiatów miałem za życia,“ mówi. Z pewnością, kwiatów tych było niewiele, lecz i w duchowej organizacyi jego tkwi też niewątpliwie wrażliwość przedewszystkiem na ból i tęsknotę. Widoczne tego dowody znajdujemy w najdawniejszych już utworach, które w pierwszej seryi jego poezyj szukać musimy. W „Romantyzmie“ swym nieświadomie może parafrazując „Baśń tęczową“ Asnyka, jakże odmiennym, aniżeli ten, kolorytem odziewa swój świat czarodziejski! Kiedy El..y mówi o sobie: „Szedłem gajem, gdzie dokoła śpiewające szumią drzewa, gdzie młodości wieczne źródło czyste wody swe rozlewa“ — Or-ot wyznaje, iż wszedł „do posępnej jakiejś ziemi.“ „W tej zaklętej żyłem ziemi, rozmarzony, niby we śnie, a nade mną łkały drzewa *pogrzebową* jakąś pieśnią, jakąś pieśnią pogrzebową, przesiąkniętą krwią i bolem, i szumiały ją nade mną i szeroko niosły polem.“

Znamiona, tu wytknięte, łączą Or-Ota węzłem pokrewieństwa z licznym pocztem współczesnych naszych poetów: niedawno mówiliśmy np. na tem miejscu o Słońskim... Najczęściej ta marzycielska melancholia bywa zasłuchaniem się w szmery i oddechy nocy, stapia się w całość ze srebrnem światłem księżyca (Gliński, Szczepański, Dębicki, Arnsztajnowa). Ale Or-Ot, „dziecko mieszczańskie,“ jak sam gdzieś wyznaje, jest przedewszystkiem dzieckiem miasta. Nie przylgnął nigdy nadługo do szerokiej piersi matki ziemi, nie wziął w swą własną pierś jej tchu. Z ciasnych zaułków miejskich tęskny duch jego wydobyć się umie tylko na fali dźwięków. Jego tęsknota i żal zresztą nie są wyrazem zmiennego nastroju, zależnego od chwili, lecz usprawiedliwienie swe znajdują zawsze w jakichś okolicznościach dotykalnych. To ból rozłąki, znajdujący swe ukojenie w przeświadczeniu, iż kiedyś „Bóg nasze duchy połączy, a ludzie moje i twoje połączą imiona“: to poczucie osamotnienia; to zawody nadziei młodzieńczych... „A młodość przeszła i nie wróci, a szczęście minęło i nie wraca.“ Choć obraca się w szczupłem kole uczuć i pomysłów, stworzył przecież, nie naśladując, „księgę pieśni,“ ociekających nieraz krwią i łzami, a w każdej z nich prawie zawsze smucimy się lub przynajmniej marzymy, wspominamy, tęsknimy z *kimś*, współczujemy *komuś*. „Widzę, jak we śnie, oczy płonące, słyszę, jak we śnie, srebrzysty śmiech...“ Ta ciągła obecność czyjegoś bijącego serca w śpiewie Or-Ota, i ten zaznaczony przed chwilą brak żywiołu panteistycznego, ta bezpośredniość uczucia — nie jest wyższością poety, nie jest też jego niższością, to tylko jedno ze znamion, najdobitniej wyodrębniających go w orszaku spokrewnionych z nim poetów - melancholików.

Z treścią natchnień Or-Ota harmonijnie się zgadza i doskonale je wyraża zewnętrzna ich szata. Wyszukaną ona nie jest; jej działanie poddawcze nie spoczywa w jej pierwiastkach plastycznych; nie jest barwną, ani wzorzystą; nie posiada w najmniejszym nawet stopniu kolorytu modernistycznego, jak nie posiada go kierunek wyobraźni poety. Lecz natomiast rzewne i melancholijne usposobienie autora „Pieśni“ jakże przedziwnie zespala się z cichą, tęskną i śpiewną ich nutą! Wszystkim niemal możnaby nadać tytuły poszczególnych działów w poprzednim zbiorku. Z motywów Chopina, Piosnki pod muzykę, Na skrzypkach... Melodyjność — to nietylko płynność wiersza, to stopienie się w całości wrażenia rytmicznego toku, dykcyi i nastroju uczuciowego. Tą melodyjnością Or-Ot czaruje i rozmarza, i po niej tylko już możnaby rozpoznać poezye jego wśród wielu, wielu innych...

Oplotła nas marzeń tęczowa sieć,
W łzach cichych roztopił się ból,
Aniele mój biały, leć ze mną, leć,
Od krwawych, od chmurnych tych pól.
Sierocym welonem otul swą skroń,
I lećmy i płyńmy dłoń w dłoń.
Za nami mknie z ziemi, osnutej w kir
Żałobna pieśń luteń i lir...

Przytoczyłem te zwrotki dla oryginalnej, będącej własnością poety, ich miary rytmicznej. Oto inna, znana nam tak dobrze u Zaleskiego i Ujejskiego:

Z pod twych rączek, z pod twych białych
płynie piosnka w dal,
Coraz wolniej, coraz ciszej,
niby łzy i żal.
Anielskiemi westchnieniami
skarżą się klawisze,
Płynie piosnka w dal miesięczną,
rozpływa się w ciszę.

I na pieśni tej zaklęcie
lecą roje snów,
Zmarnowany zapał młody
płonie w sercu znów
. . . .
Śpiewne tony twej piosenki
takiej cichej, drżącej,
Na me serce padły krwawe,
jak balsam kojący...

(D. n.).

A. Drogoszewski.

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Henryk Sienkiewicz: *Na jedną kartę*, dramat w 5 aktach Przedstawienie amatorskie Miłośników sceny na rzecz Warsz. Tow. dobroczynności.

W oczekiwaniu na nowych autorów i arcydzieła nowe, oddychamy w teatrze wonią przywiędłych i przybladłych już nieco kwiatów przeszłości. Więc w Rozmaitościach zwolennicy uszlachetnionego melodramatu podziwiać mogą, w wykonaniu p. Marcello i p. Żelazowskiego w rolach głównych, „Księżnę Martę,“ najpierwszą perłę ekwilibrystyki pisarskiej Wiktoryna Sardou, który ją złożył ongi u stóp Sary Bernhard, dla dodania nowego blasku świetnemu dyademowi jej ról. A znane już dobrze zwolennikom teatru grono amatorskie Miłośników sceny urządziło tymczasem „wieczór sienkiewiczowski,“ wystawiając, pod kierunkiem reżyserskim p. Żelazowskiego, grywany przed dwudziestu laty w teatrze Rozmaitości i rozpowszechniony następnie w druku, pięcioaktowy dramat autora „Krzyżaków,“ p. t. „Na jedną kartę.“

Prawda wypowiedziała w swoim czasie pogląd krytyczny na ten poroniony płód znakomitego skądinąd talentu, a przedstawienie niedzielne dowiodło nanowo, jak słuszne były uwagi jej ówczesne. Lecz rączy, jak zawsze, *Kuryer warszawski*, uprzedzając sam fakt wznowienia dramatu Sienkiewicza przez grono utalentowanych amatorów i nie czekając na wrażenie, jakie ten utwór wywrze dzisiaj po latach dwudziestu, uznał za stosowne wyrwać kilka zdań z ówczesnej recenzyi *Prawdy*, dla przypomnienia swoim czytelnikom, jakie to straszne ataki znosić musiał kiedyś Sienkiewicz ze strony — „nieprzejednanych.“

Nic nie mamy przeciwko takim wspomnieniom, pragnąc jednakże, aby czytelnicy nasi mogli zdać sobie sprawę z tego, o co właściwie chodziło przed laty autorowi recenzyi, która dziś jeszcze budzi niezadowolenie we współpracowniku *Kuryera*, musimy przytoczyć z niej bez zmian i skróceń dłuższy ustęp, podany przez wymieniony dziennik w bardzo niedokładnem streszczeniu:

„Gdyby p. Sienkiewicz—czytamy w nr. 10 *Prawdy* z r. 1881—nakreślił był obraz artystyczny, prawdziwy, ani nie posądzalibyśmy go o tendencyę lub nie oskarżali za nią. Jaką widział rzeczywistość, taką odmalował, a nie jego wina, że cień padł na demokratów a światło na arystokratów. Jeżeli jednak pisarz, który w swych powieściach złożył dowody bystrego spostrzegania i umiejętnego postaciowania zjawisk życiowych, tworzy figury martwe, pozbawione prawdy, sztucznie nakręcone, to musimy przypuścić, że je wynalazł i użył do pewnego z góry postawionego założenia... Założenie to przedstawia się mniej więcej tak: arystokraci są poczciwi i głupi, demokraci mądrzy i podli. Niepodłe śród tych ostatnich są tylko takie pionki na usługach kierujących figur, jak Żuk. I na jakich dowodach w dramacie opiera się ten wniosek? Czy w nim występują jakiekolwiek czynniki, któreby wyłącznie do właściwości arystokracyi lub demokracyi zaliczyć można? Dlaczego Józwowicz nie występuje jako Józwowicz, lecz jako przywódca partyi demokratycznej? Czy jego podłości nie mógłby popełnić szermierz innego obozu? P. Sienkiewicz tak dalece wypchał tendencyą swych bohaterów, że nawet w zacnem sercu Żuka nie pozwolił obudzić się wzgardzie w chwili, gdy ten dowiaduje się o zbrodni doktora. Zamiast go opuścić, napiętnować, agitator daje mu tylko naukę na przyszłość. Tym sposobem autor tę jedyną żywą, chociaż nie polską, ale raczej francuską lub niemiecką postać kaleczy niezdolnością poczucia moralnego — na pohańbienie demokratyzmu.

W rozwoju piśmienniczej działalności p. Sienkiewicza, który od *Humoresek z teki Worszyłły* i *Szkiców węglem* tak szybko przeskoczył do sielanek szlacheckich i podgryzania postępowych latorośli, dramat *Na jedną kartę* jest objawem bardzo naturalnym. Autor wpadł tam, gdzie się od lat kilku chylił. Jakkolwiek nie sądzimy, żeby losy naszej demokracyi zależały od tak wątłych gromów, przykro nam jednak widzieć w młodym autorze tę chęć duszenia prądu, który ledwie dyszy, to kreślenie nieudolną ręką Rabagasów, którzy jeszcze się nie urodzili, to zniesławianie karykaturami charakterów, które społeczeństwu są potrzebne, a wszystko to w autorze, zawdzięczającym swe najlepsze natchnienia właśnie tej krynicy, w którą lekkomyślnie pluje. Bo i gdzież p. Sienkiewicz w życiu naszem dostrzega gospodarstwo i rozbój demokratów w książęcych palacach? Można gęgać, ale przynajmniej wtedy, gdy zwycięzcy pod Kapitolem. Tymczasem u nas, a podobnie i w Galicyi, demokratyzm jest podrzutkiem, którego społeczeństwo niedawno przytuliło i wychowuje. Tak jeszcze młody, że nie miał czasu nauczyć się zbrodni, a dla zachowania życia wiele już cnót w sobie wykształcił, wiele nawet sił p. Sienkiewiczowi do dawnych utworów udzielił. I jak gdyby Nemezys ukarała autora za odstępstwo, napisał on rzecz najlichszą właśnie wtedy, gdy demokratycznym być przestał.

Pisma, które nas uprzedziły w wyrażeniu rozczarowania po dramacie *Na jedną kartę*, otrzymały od jednej z gazet, liczącej p. S. do swych głównych współpracowników, surową naganę. Gazeta owa nieprzychylny sąd wytłomaczyła. . zawiścią. Dość naiwnie. Dlaczegóż owa zawiść umilkła, gdy oceniano powiastki p. Sienkiewicza? Dlaczego nikt zagrożony „współzawodnictwem“ nie zamykał teatru Bliźińskiemu? Zdaje nam się, że daleko łatwiej znaleźć powód różnicy zdań w rzeczywistym stosunku p. Sienkiewicza do wysławiającej go gazety, niż w domniemanej zawiści. Nic dziwnego, że pisma, które — mówiąc językiem wielkiego publicysty niemieckiego — nie potrzebują w cudzej asafe-

tydzie chwalić różanej woni i które nie brały udziału w fanfarze przed wystawieniem dramatu, mają wolne ręce i sumienie. Być może, iż przez pryzmat przyjaźni dramat ów wydaje się bardzo pięknym, nie przeszkadza to jednak wcale tym, którzy patrzą bez uprzedzeń, widzieć w nim utwór niższy od wszystkich poprzednich prac Sienkiewicza i niegodny wyprawionej mu przez kilka pism owacyi. Jest to artystycznie bardzo pospolita, zaledwie kilkoma szczęśliwymi błyskami oświecona robota, społecznie zaś z gruntu licha. Gdyby autor mógł otrzeźwieć z czadu przyjacielskich kadzideł i gdyby w pierwszym debiucie całą swą dramatopisarską sławę postawił *na jedną kartę*, powiedziałby niezawodnie o sobie to, co Józwowicz: „przegrałem... strasznie.“ Życzymy mu szczerze, ażeby się odegrał...“

Tyle autor inkryminowanej w *Kuryerze* recenzyi. Do słów jego dzisiaj to chyba dorzucić możemy, że, pomijając nawet w zupełności tendencyjno-społeczną stronę dramatu, uderza w nim przedewszystkiem, dziś może bardziej jeszcze, niż przed dwudziestu laty, ten zaznaczony w przytoczonym wyjątku, zasadniczy brak elementarnej prawdy życiowej. Przed oczami widza przesuwa się szereg drewnianych manekinów, wśród których jeden tylko zapalony działacz-demokrata, Antoni Żuk, wywiera wrażenie postaci z ciała i krwi. Reszta — to zabawne chwilami karykatury w rodzaju hr. Jana Miliszewskiego lub pozbawione własnej woli, niewiadomo po co kręcące się po scenie figurki jasełkowe, w rodzaju Pretwica lub Drahomira. Skaczą one, same nie wiedząc o tem, tak, jak im zagra główny bohater sztuki, dr. Józwowicz, czarny charakter melodramatyczny, gospodarujący, niewiadomo znowu, na jakiej zasadzie, jak we własnej kieszeni, w domu księcia Starogrodzkiego.

Zupełną jedynie niezdolnością tej postaci do życia scenicznego wytłomaczyć można fakt, że nawet taki zdolny amator-artysta, jak p. Łącki, który dawał sobie wybornie radę z Ibsenem i Sofoklesem, czuł się tym razem, jak nie we własnej skórze. Jego Józwowicz wywierał przeważnie wrażenie jakiegoś nowożytnego Jagona, zabłąkanego przypadkiem na grunt galicyjski, a nie współczesnego działacza politycznego, pragnącego jednocześnie otrzymać za wszelką cenę mandat poselski z rąk demokratów i piękną księżniczkę z rąk zdziecinniałego starca o mamutowych poglądach. Jedyna w sztuce możliwa postać Żuka znalazła natomiast doskonałego wykonawcę w osobie p. Kotowskiego, którego gra, pełna zapału i werwy, budziła wśród widzów objawy głośnego zadowolenia.

Jakże więc śmiesznie wobec tego wszystkiego wygląda wystąpienie *Kuryera*, który, zestawiwszy kilka zdań z przytoczonej powyżej recenzyi *Prawdy*, z hymnem pochwalnym, wygłoszonym w tym samym czasie i na łamach tego samego *Kuryera* na cześć dramatu Sienkiewicza przez p. Wł. Bogusławskiego, podryguje wesoło, skrobiąc w naszą stronę marchewkę: „A co? Czyje na wierzchu?“

Ależ, czcigodni panowie, zrozumiecież chociaż raz to, że *Prawda* nie myślała nigdy zaprzeczać Sienkiewiczowi niepospolitego, niezwykłego talentu, a tylko nie może w żaden sposób wywracać razem z wami koziołków bezkrytycznego zachwytu, zwłaszcza z powodu takich utworów mistrza, które do wieńca jego zasług i chwały nie dodadzą *ani jednego* listka wawrzynu. Wam zresztą tej przyjemności nie bronimy bynajmniej, nie rozumiemy tylko, w jakim celu podnosicie przy niej tyle hałasu. *B. S.*

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYE. Krzyszkowski: „Na starych skrzyp-[illegible]

— Kaz. Przerwa-Tetmajer. „Poezye.“ Serya I, wydanie drugie z przedmową autora. Str. 178. Gebethner i Wolff.

— Zygmunt Rostkowski: „Stargane struny,“ z przedmową W. Bukowińskiego. Str. 76. Cena 50 kop. Okręt.

POWIEŚĆ. A. Gruszecki: „Zwyciężeni.“ Str. 453. Gebethner i Wolff.

— J. Mieroszewicz: „Zginęła głupota,“ powieść z niedalekiej przyszłości Str 263. Dubowski.

— Wiktor Hugo: „Pracownicy morza.“ 4 tomy, „Kościół Panny Maryi w Paryżu,“ 4 tomy. Bukowiecki.

— Sewer: „Legenda.“ — „Kto ona?“ — „Euthanasya.“ Str. 241. Gebethner i Wolff.

— St. Żeromski: „Promień“ — „Na pokładzie“ — „O żołnierzu tułaczu“ — „Tabu“ — „Cienie“ — „Kara“ — „Legenda o bracie leśnym“ Str. 326. Wydanie drugie. Gebethner i Wolff.

ROLNICTWO. T. Łuniowski: „Rolnictwo i hodowla zwierząt u starożytnych Rzymian.“

— J. Sikorski: „Uprawa łąk i pastwisk,“ str. 500. Nakład Tow. wyd.

WYDAWNICTWA LUDOWE. J. Szczawińska: „Wojciech-Kłos,“ historya pożytecznego człowieka. Str. 110.

SPRAWY EKONOMICZNE.

REWIZYA TARYF ZBOŻOWYCH.

W Petersburgu odbył się zjazd w sprawie przejrzenia i zmiany taryf zbożowych. Na wiec ten podążyli przedstawiciele rolnictwa, młynarstwa, kolei żelaznych i giełd z różnych dzielnic państwa, od Urala aż do Wisły. I nic dziwnego — taryfy zbożowe są bardzo ważnym czynnikiem „reglamentacyjnym“ w życiu ekonomicznem. Jest to przytem najdrażliwsza sprawa, która potrąca o najróżnorodniejsze interesy wielu grup ludności. Stworzenie takich taryf, któreby zaspakajały równomiernie potrzeby tych wszystkich grup jest zadaniem w dzisiejszych warunkach prawie niemożliwem do wykonania. To też i obecnie, już po raz trzeci, zawrzała walka na zjeździe. Walczyły z sobą nietylko grupy różnorodne, jak np. przedstawiciele kolei lub giełd z rolnikami, lecz nawet rolnicy z rolnikami. Co się np. zdawało korzystnem dla ziemian z nad Wołgi lub z za Wołgi, to było zgubne dla ziemian z Królestwa Polskiego. Wszystko to już było w r. 1893 i 1896. I wtedy spory nie doprowadziły do takich wyników, któreby zaspokoiły wszystkich. Ułożono taryfy, które jednak w praktyce życiowej wykazały niezgodność z istotnemi potrzebami życia. Rezultatem zaś tej niezgodności było zwołanie nowego zjazdu w celu rewizyi taryf. Zasadą ich jest różniczkowość, polegająca, jak wiadomo, na tem, że im większą przestrzeń zboże przebiega, tem mniejszą opłatę ponosi. Zasada ta ma na celu usunięcie nadmiaru zboża z dzielnic państwa, wytwarzających ziarno w ilości nadmiernej. Tu jednak ujawniła się słaba strona tego systemu. Dzielnice produkujące tanio zalewają swem zbożem terytorya, posiadające wyższą kulturę i kosztowniejszą produkcyę. W takiem położeniu właśnie znalazło się Królestwo Polskie. Przyjrzyjmy się najpierw zasadom taryf. Obecnie za przewóz puda zboża do 180 wiorst opłata wynosi po $^1/_{28}$ kop. od puda i wiorsty; na odległości od 181 do 320 wiorst do opłaty za całą strefę poprzednią dodaje się po $^1/_{62,5}$ kop. za każdą wiorstę; od 320—800 wiorst do opłaty za 320 wiorst dodaje się po $^1/_{63,2}$ kop.; od 801 do 1,120 do opłaty za 800 w. po $^1/_{83,2}$ kop. i wreszcie powyżej 1,120 w. do opłaty za 1,120 w. dodaje się po $^1/_{115,4}$ kop. od puda i wiorsty.

Inny jest system taryf wewnętrznych: Za odległość do 200 wiorst pobiera się po $^1/_{34}$ kop. od puda i wiorsty; od 201 do 540 w. do opłaty za 200 w. dodaje się $^1/_{50}$ kop. od puda i wiorsty; od 541 do 800 w. do opłaty poprzedniej dodaje się $^1/_{68,2}$ kop.; do 1,120 w. oprócz opłaty poprzedniej $^1/_{81,3}$ kop.; powyżej 1,120 do opłaty za 1,120 w. dodaje się $^1/_{115,4}$ kop.

Dla dzielnic posiadających wyższą kulturę i kosztowną produkcyę między innemi bardzo niekorzystną jest zasada, że do przewozu mąki stosowana jest taryfa zbożowa. Ułatwia to ogromnie młynarzom nadwołżańskim zalewanie rynków na kresach zachodnich. To też przedstawiciele rolnictwa i młynarstwa z Królestwa Polskiego usilnie bronili swoich interesów. Tak np. p. Józef Jeziorański słusznie zaznaczył, że taryfy obowiązujące, dając niezmierną zachętę młynom środkowej i dolnej Wołgi, dopomogły do ich rozrostu i przyczyniły się przez to do poprawienia warunków handlu zbożowego, prowadzonego przedtem nieorganicznie. „Nikt nie przeczy temu — mówił p. J. — iż kierunek wysoce kapitalistyczny, jaki przybrało młynarstwo nad Wołgą, leży do pewnego stopnia w warunkach ewolucyi tegoczesnej przemysłu i handlu. Ale tu chodzi o zupełnie co innego; tu chodzi o to, że polityka taryfowa prowadzi się tak, jak gdyby pożądanem było, aby w południowo-wschodnim krańcu czarnoziemów Rosyi stanął jeden wielki młyn i ten zasilał mąką całe państwo... Jeżeli nawet młyn kapitalistyczny ma mieć górę nad rolniczym, to i wtedy jeszcze dla należytego rozwoju handlu, dla zasilenia rolnictwa w formie odpadku przemiału, pragnąć trzeba, aby młyny te powstawały we wszystkich okręgach — nie w jednym. Tu, jak i wszędzie, równouprawnienie daje najzdrowszą podstawę prawu. W Królestwie, płacąc tej zimy po 65 kop. za pud otrąb, woleliśmy karmić inwentarz żytem. Tego nie byłoby, gdyby u nas zakwitło młynarstwo. Zresztą wcale dowiedzionem nie jest, aby z chwilą powstania młynów kapitalistycznych miały być zbytecznymi rolnicze. Te ostatnie, dając dla ludu mąkę poślednią, nierównie bogatszą w części pożywne, zasługują na poparcie, a będą je miały, skoro usunięte będzie premium za przewóz mąki, zabójcze dla młynarstwa w całem państwie.“

Dobrze umotywowane i przekonywające również było przemówienie p. E. Dobieckiego, przedstawiciela rolników z Królestwa Polskiego. Zaznaczył on pewną niekonsekwencyę: Zasada brzmi: taryfy wewnętrzne powinny być ustanowione w ten sposób, aby jedna prowincya nie szkodziła innej i przewyżką swej produkcyi zbożowej niepotrzebnie jej nie zalewała. A jednak rolnictwo w Królestwie Polskiem — podkreśla mówca — znajduje się w szczególnie opłakanem położeniu. Przeważnie gleba mało urodzajna (co stwierdza ministeryalny „Zbiór statystyczny urodzajów w państwie“), wymagająca wielkiej pracy i nakładów, ogromne ciężary podatkowe, dochodzące wraz ze składkami gminnemi w niektórych miejscowościach do 3½ rb. z dziesięciny, wreszcie brak robotnika, który wychodzi coraz tłumniej do ognisk przemysłu i do Niemiec, słowem — ogromne koszty produkcyi, a natomiast zamknięcie granicy na bydło, zalew zbożem i mąką z dalekich stron państwa. „Zdawałoby się — mówi p. D. — że rolnictwo takie, organicznie z życiem ekonomicznem państwa związane i wśród wszystkich okręgów w dochodach państwowych najpierwsze zajmujące

miejsce, spodziewać się powinno raczej poparcia, niż przygnębienia.“ W dalszym ciągu mówca zaznaczył, że obecne przesilenie rolnicze zaostrzył system taryfowy.

W takim mniej więcej duchu przemawiali przedstawiciele życia ekonomicznego w Królestwie Polskiem i mieli nawet pewne poparcie śród ludzi bezstronnych i jasno patrzących na sprawy. Tak np. ks. Obolenskij, gubernator chersoński i obywatel zawołżański, stanowczo potępił ulgi, nadane mące, twierdząc, że system ten jest niezmiernie szkodliwy, że daje korzyści kilku wielkim młynom kapitalistycznym nad Wołgą, natomiast wyrządza ogromne straty całemu państwu. Zdaniem ks. Obolenskiego, młyny nadwołżańskie są to olbrzymie przedsięwzięcia bankiersko-przemysłowe, które skupiają z różnych stron zboże i dają ludowi mąkę najpośledniejszego gatunku. W tym samym duchu przemawiał p. Kierbedź, przedstawiciel kolei Władykaukaskiej. Radził on eksporterom mąki starać się o podbój olbrzymich rynków Syberyi Wschodniej tudzież dalekiego Wschodu, które dotychczas niepodzielnie zalewa mąka amerykańska. Do zdania ks. Obolenskiego i poniekąd p. Kierbedzia przychylili się również przedstawiciele strefy północno-czarnoziemnej, wychodząc jednak ze stanowiska interesów osobistych. Żądali oni podwyższenia taryf wewnętrznych, ażeby się uwolnić od zalewu zbożem kresów nadwołżańskich, a nadto — zniżenia taryf wywozowych, aby to zboże, uwolniwszy rynki wewnętrzne, znalazło sobie upust na zewnątrz. Pani Bers, właścicielka ziemska z gub. Tulskiej, wystąpiła jako stanowcza przeciwniczka taryf różniczkowych, gdyż służą one tylko do przerzucania zboża z nad Wołgi nad Wisłę, tymczasem lud rosyjski skazany jest na stałe głody. Z tego względu p. Bers zaproponowała dla obu taryf: wewnętrznej i wywozowej, skalę proporcyonalną, znacznie wyższą na dalszych odległościach od różniczkowej. W tym samym duchu przemawiał senator Kabat, twierdząc, że Rosya wywozi za wiele zboża, z krzywdą dla swego ludu. Dyrektor kancelaryi kredytowej, p. Maleszewski, zaznaczył, że skutkiem zbyt taniego przewozu zboża koleje mają niedobór, który pokrywa z podatków ludność cała. Wogóle koleje skarbowe oświadczyły się przeciwko zniżce taryf, z tego względu, że podwyższenie cen opału zwiększyło budżet kolejowy o kilka milionów. Natomiast koleje prywatne, z wyjątkiem Wiedeńskiej, wystąpiły jako przeciwniczki podwyższenia taryf, ze względu, że wpłynęłoby to na zmniejszenie przewozu zboża.

Ostatecznie większość przedstawicieli rolnictwa oświadczyła się za zniżeniem taryf wywozowych a podwyższeniem wewnętrznych. Słowem, żądano ustanowienia dwu oddzielnych taryf. Natomiast znaczna większość przedstawicieli młynarstwa, giełd i kolei żelaznych żądała utrzymania taryf obowiązujących. Jak z tego chaosu wybrnie komitet taryfowy, trudno w tej chwili sądzić. Departament kolejowy opracował swój schemat, który cokolwiek łagodzi różniczkowość przez nieznaczne podwyższenie normy opłat w końcu linii na większych odległościach.

Nie od rzeczy będzie na tem miejscu przypomnieć bardzo racyonalny i względnie najsprawiedliwszy system p. Adolfa Suligowskiego, zalecany jeszcze w r. 1895 na posiedzeniu głównego Towarzystwa przemysłu i handlu w Petersburgu, a następnie ogłoszony w osobnej książce *). Projektodawca zalecał schemat taryfowy dla mąki nieco wyższy, niż dla ziarna, tj. zamknięcie taryfy pomiędzy $^1/_{24}$ a $^1/_{47}$ kop. od puda i wiorsty. Mianowicie za przestrzenie od 1 do 250 wiorst 25 kop., od wagonu i wiorsty, co stanowi $^1/_{24}$ kop. od puda i wiorsty. Od 250 do 500 do opłaty za 250 wiorst dodać 25 kop. od wagonu, tj. $^1/_{50}$ kop od puda i wiorsty. Od 500 do 1000 w. dodać 17 kop. od wagonu, tj. $^1/_{40}$ kop. od puda. Ponad 2,000 w. dodać 13 k. od wagonu, tj. $^1/_{47}$ kop. od puda. Takie opłaty za mąkę, cokolwiek droższe, ochroniłyby młynarstwo każdego okręgu od współzawodnictwa, a kolejom zapewniłyby dochód znacznie wyższy, niż obecny. Dla przewozu zaś mąki na wywóz za granicę p. Suligowski proponował możliwie największe ulgi. W tej mierze niema żadnej przeszkody, ażeby ładunki mączne i przemiałowe wychodziły za granicę przy frachtach tak nizkich, jak ziarno. Z tego powodu, jak również ze względu na wyższy schemat taryfowy, wskazany dla mąki, projektodawca zaleca potrącenia nie w stosunku 50%, ale 60% od opłat wniesionych przez eksporterów, z dodaniem jeszcze 5% dla przesyłek dalszych od 1,500 wiorst, jako przywileju dodatkowego dla wschodnich części państwa. Uszczerbek w dochodach wskutek wzmocnionej ulgi dla tych ostatnich okręgów na przewóz mąki i ziarna będzie pokryty, jak przewiduje p. S., może nawet z przewyżką, wpływami z podniesionej taryfy na mąkę, której przewóz w ruchu wewnętrznym zacząłby przynosić więcej dochodu. Przy tak znacznych ulgach dla wywozu, zboże bardzo łatwo mogłoby wracać do kraju, paraliżując wpływ wyższych taryf ruchu wewnętrznego. „W istocie — mówi p. S. — taka spekulacya daje się przewidzieć, o ile dowożone z zagranicy ładunki zbożowe nie ulegają ocleniu. Na zasadzie obowiązującej opłaty taryfy celnej z r. 1894 i wmyśl traktatów z Niemcami i Astryą, cło istnieje u nas tylko na mąkę, kaszę i tym podobne produkty, wyrobione ze zboża, ziarno zaś wchodzi w granice państwa bez jakiejkolwiek opłaty. To też produkty przemiału, raz wywiezione za granicę, tak łatwo stamtąd nie powrócą. Ale ze zbożem od cła wolnem coś podobnego zdarzyć się może.“

Środkiem skutecznym do zapobieżenia tego rodzaju nadużyciom mogą być między innemi świadectwa o pochodzeniu. W tym celu p. Suligowski doradza zasadę, że ładunek zbożowy nie może do nas przyjść z zagranicy bez legitymacyi, tj. bez świadectwa miejscowych władz zagranicznych, stwierdzającego, skąd produkt pochodzi. Gdyby się okazało, iż jest to zboże, wywiezione niedawno z granic państwa rosyjskiego, importer musiałby zwrócić pobrane premia taryfowe, pod rygorem niemożliwości wprowadzenia ładunku w granice państwa. Nadto projektodawca zalecał ustanowienie cła na ziarno zbożowe w takiej wysokości, aby spekulacya nie miała żadnych korzyści na kosztach transportowych.

Szkoda, że o tych wnioskach p. Suligowskiego, bardzo szeroko umotywowanych, nikt z przedstawicieli Królestwa Polskiego nie przypomniał na obecnym zjeździe taryfowym. W pracy tego autora jest także poświęcony osobny rozdział opodatkowaniu gruntów, które powinno bardzo zaważyć na systemach taryfowych. A przecież można było z góry przewidzieć naciągane dowodzenia i zarzuty, które dałoby się łatwo odeprzeć faktami niezbitymi. Już się odezwały głosy, między innymi w *Now. Wr.*, że Królestwo niesłusznie się uskarża na obarczenie podatkowe. Tymczasem poważne źródła mówią wręcz co innego. Nie mamy miejsca na przytoczenie tych danych. Poprzestaniemy więc tylko na podaniu kilku uwag autora cytowanej powyżej książki. Słowa te w oczach przeciwników powinny mieć tem większe znaczenie, że autor, dla nadania siły swym argumentom, staje na gruncie fiskalnym: „Okładając kulturę rolną poborami i odnosząc stąd znakomite korzyści, potrzeba chronić ją od upadku, *celem zachowania sił podatkowych i dalszego ich wzrostu*. Byłoby to niesprawiedliwością z jednej strony obciążyć wyższą kulturę, z drugiej zaś utrudniać byt jej i szkodzić rozwojowi w drodze reglamentacyi taryfowej. Łatwo teraz zrozumieć, dlaczego w wielu miejscowościach państwa powstały narzekania z powodu taryf. Gdzie się dźwiga wysokie ciężary, gdzie jednocześnie gospodarstwo rolne wymaga wysokich nakładów, tam zachodzi konieczność osiągnięcia wyższej ceny za produkty rolne, aby zapracować na pokrycie ciężarów i podołać wykonaniu swoich zobowiązań. Skargi tym razem na dowóz i zalew rynku zbożowego okazują się usprawiedliwionemi, zwłaszcza jeżeli obciążone okręgi wytwarzają odpowiednie do swoich potrzeb ilości zboża i na brak jego narzekać nie mogą. Jeżeli już taryfy nie mogą przyczynić się do podniesienia sił produkcyjnych w państwie i we wszystkich jego częściach, to przynajmniej nie powinny sił tych w niczem naruszać, ani zmniejszać.“

Zen. Piet.

*) „Produkcya rolna i taryfy kolejowe.“ Warszawa, 1895 r.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Dąbrowie Górniczej świeżo powstało Towarzystwo muzyczne. Na prezesa powołano p. Stanisława Kontkiewicza, na dyrektora — p. Franciszka Koźmiana.

Osądzenie warunkowe. Rada państwa poleciła p. ministrowi sprawiedliwości szczegółowo opracować sprawę możliwości wprowadzenia do rosyjskiego kodeksu karnego osądzenia warunkowego. Polega ono na tem, że jeżeli przestępca, który popełnił karygodny uczynek i został pociągnięty do odpowiedzialności sądowej, nie jest recydywistą i jeżeli prowadził wogóle życie uczciwe, to kara nie będzie wykonywaną natychmiast. Sąd wypuszcza przestępcę na wolność, uprzedzając go, że będzie ukarany w dwojnasób, jeżeli dostanie się raz jeszcze przed kratki sądowe. Warunkowe osądzenie już wprowadzono we Francyi, Belgii, Szwajcaryi, Norwegii i we Włoszech, inne zaś państwa Europy są zajęte tą sprawą.

Szkoły. Z powodu wynikłych w jednym okręgu naukowym wątpliwości ministeryum oświaty — jak donosi *Siewier. Kurjer* — wyjaśniło, że w zakładach naukowych, istniejących w miastach i wogóle w miejscowościach, w których niema osób duchownych wyznań chrześciańskich, nauczanie religii tych wyznań należy do rodziców uczniów. Jednocześnie ministeryum wyjaśnia, że świadectwa o otrzymaniu konfirmacyi, wydawane uczniom wyznania protestanckiego przez pastorów, jak również wydawane uczniom wyznania rzymsko-katolickiego przez księży tego wyznania, stanowią dowód dostatecznej znajomości religii według przepisów kościelnych.

— Dla zapobieżenia możliwym nadużyciom i nieporozumieniom przy sprzedaży książek szkolnych, przeznaczonych do użytku w zakładach naukowych w charakterze podręczników szkolnych, jako też dla bibliotek tych zakładów naukowych, ministeryum uznało za właściwe, aby na karcie tytułowej, a w miarę możności i na okładce tych książek była wydrukowana cena. Książki, nieodpowiadające temu wymaganiu, nie będą wcale przyjmowane do rozpoznania w komitecie naukowym.

Zdrowie publiczne. Ministeryum komunikacyj roztrząsa projekt stworzenia szpitalów ruchomych, które mieścić się będą w wagonach z odpowiedniem urządzeniem. Służyć one mają do przewożenia ciężko chorych, tudzież dla cierpiących na choroby zakaźne.

— Ministeryum rolnictwa zwróciło uwagę ministeryum spraw wewnętrznych na to, że w ostatnich czasach fałszowanie masła przybrało ogromne rozmiary, przyczem masło naturalne zaprawiane bywa najczęściej margaryną i produktami innych tłuszczów. Odbija się to bardzo szkodliwie na interesach spożywców i na wywozie masła za granicę

Wobec tego minister spraw wewnętrznych rozesłał do gubernatorów okólnik, w którym zaleca przedsięwzięcie środków nadzoru nad masłem naturalnem i margaryną.

Odczyty z dziedziny biologii w Muzeum przemysłu i rolnictwa. W listopadzie: 10-go, p. W. Jezierski „Rozwój świata organicznego“; 13-go, p. K. Kujawski: „Fermentacya“; 17-go, p. Z. Zieliński: „Współżycie wśród roślin i zwierząt“; 20-go, p. K. Kulwieć: „Pasorzytnictwo“; 24-go, p. E. Jankowski: „Ziemia karmicielka“; 27-go, dr. St. Kopczyński: „Zanżenie“; w grudniu — 1-go, dr. Z. Kramsztyk: „Zdrowie i choroba“ i 4-go, dr. A. Fabian: „Życie i śmierć.“

Przemysł i handel. W Warszawie zawiązuje się nowe stowarzyszenie spożywcze dla pracowników zarządu miejskiego. Udziały 10-rublowe. Tymczasowo postanowiono założyć sklep w gmachu magistratu z niezbędnymi produktami. Nadto uchwalono ułatwić dostawę węgla dla stowarzyszonych. Kredyt służyć będzie do wysokości udziału.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę drugiego Towarzystwa pożyczkowo-oszczędnościowego w Lublinie.

Zmarli. Zofia Bauer, w Warszawie, długoletnia pracowniczka na polu pedagogicznem. Była to jedna z tych szczygodnych niewiast naszych, które ciężki zawód wychowawczyni i nauczycielki traktują nie jako środek do życia, lecz jako ideał życia. Z miłością macierzyńską, obok chęci do pracy, szczepiła w młodych sercach i umysłach zamiłowanie i zapał do wszystkiego, co dobre i szlachetne. Cicha, skromna i dobra zgasła, pozostawiając szczery żal i wdzięczną pamięć wśród licznych swoich uczniów.

Odpowiedzi Redakcyi.

Pani Eug. Leś. Rękopis do zwrotu.
Medykowi. Nie zużytkujemy.
Kamilowi. Bez sensu.

SPROSTOWANIE. W nr. poprzednim w „Pamiętniku“ p. t. „Odczyty,“ w ostatnich wierszach winno być: „gdyby tylko pozbyć się błędów językowych“ (zamiast „pozbył się“).

— **Prezes Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych** w Królestwie Polskiem podaje do wiadomości, że na dzień 28 października (10 listopada), w sobotę r. b. o godz. 8 wieczorem, naznaczonem zostało Ogólne, nadzwyczajne Zebranie członków Towarzystwa w gmachu warszawskiego Muzeum przemysłu i rolnictwa. Porządek obrad: 1) sprawozdanie komitetu o objęciu nieruchomości przez ś. p. Ludwikę Górecką Towarzystwu zapisanej i 2) wniosek komitetu co do pozyskania funduszów dla dalszej budowy gmachu.

Wstęp na Ogólne Zebranie mają wszyscy członkowie Towarzystwa, prawo zaś głosu tylko członkowie rzeczywiści. Członkowie nieobecni nie mogą odstępować swego głosu. Członkowie rzeczywiści przy wejściu na Zebranie winni okazać dowód opłaconej składki za r. b. 1900.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. A. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 Октября 1900 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.